Sternik

dwutygodnik dla młodych

Warszawa

ROK II Nr. 4 — 25-go LUTEGO 1930 R. — CENA 50 GROSZY.

Na marginesie „Przedwiośnia" i „Urody Życia"

W bogatej ideowo spuściźnie Żeromskiego są dwie sceny, których zestawienie i porównanie może być dla każdego myślącego człowieka punktem wyjścia do gruntownego zastanowienia się nad podstawowemi zagadnieniami Polski dzisiejszej.

Jedna z tych scen za tło ma podmiejskie pustkowie angielskiego parku. W pustkowiu tem trzej Polacy, wygnańcy i tułacze, zawierają uroczysty i umocniony przysięgą spisek, iż nie spoczną, nie ustaną, nie zawrócą ze swej drogi, aż w rezultacie swej pracy „pomnożą do najwyższej granicy: Moc polskiego ducha... Władzę polską... Pracę polską... Dobro w Polsce...".

Przysięga ta, zawarta w obliczu „niezmiernej siedliska potęgi", huczącego nadmiarem sił Londynu, sprowadzić ma zaprzysiężonych do kraju, w którym, w warunkach najbezwzględniejszej niewoli, realizować będą swe zamiary, wbrew wszystkim i wszystkiemu: wbrew obcej przemocy, wbrew bezwładowi i bierności społeczeństwa, wbrew własnej bezradności w dokonywaniu wielkiego dzieła, którego zadaniem było, by „Nic" na „Wszystko" przetworzyć.

I druga scena. Pierwsze lata niepodległości Polski. W gabinecie jednego z działaczy okresu przedwojennego, który w dalszym ciągu służy tej samej sprawie, z głęboką wiarą w wielkie zadania wskrzeszonego państwa, odbywa się rozmowa pomiędzy gospodarzem, a młodym akademikiem, byłym ochotnikiem wojny polsko-rosyjskiej, który, w uniesieniu wywołanem zwątpieniem w ideową wartość własnego państwa, rzuca w twarz swemu rozmówcy pełne gorzkiego oskarżenia słowa: „Jaką wy macie ideję Polski w tym świecie nowoczesnym, tak nadzwyczajnie nowym? Jaką?"... „Tu jest zaduch. Byt tego wielkiego państwa, tej złotej ojczyzny, tego świętego słowa, za które umierali męczennicy, byt Polski — za ideję".

Na wybuch tego gwałtownego zwątpienia i pesymizmu ze spokojem i z pewnością swej wiary w Polskę, odpowiada stary towarzysz dawnych prac społecznych i niepodległościowych grona „warszawskich" działaczy z końca ubiegłego i początku bieżącego stulecia. Słowa te nie mają jednak dosyć zapału i mocy przekonywującej, aby opanowały i rozproszyły wszystkie wątpliwości młodego poszukiwacza nowych dróg i nowych idei. To też w kilka tygodni później, w ostatniej scenie powieści, widzimy go na czele pochodu komunistycznego, idącego Alejami Ujazdowskiemi na Belweder. Idea państwowa ustąpiła w tym wypadku idei przewrotu socjalnego, a śmierć Żeromskiego sprawiła, iż scena ta stała się ostatnim akordem, zamykającym jego twórczość pisarską i ideową.

Jeśli jednak w zakończeniu „Przedwiośnia" autor nie dał dostatecznie wyraźnej odpowiedzi na pytanie, jaka ma być idea nowej Polski, a ściślej idea tych pokoleń polskich, które w najbliższych dziesięcioleciach mają tworzyć podstawy jej przyszłego historycznego rozwoju — to jednak nie można twierdzić, by zapytanie to nie zostało w jego twórczości w sposób dostateczny rozwiązane.

Przytoczona na wstępie scena z „Urody Życia" powinna być niewątpliwie wystarczającą odpowiedzią na zasadnicze wątpliwości bohatera „Przedwiośnia", przenikniętego duchem rewizjonizmu w stosunku do wszystkich dawnych haseł i wartości.

Żaden naród, społeczeństwo żadnego chyba państwa, nie ma jaśniej zarysowanych wielkich celów swej pracy państwowej, niżeli współczesne pokolenia Polski. Jesteśmy dziedzicami podwójnej przeszłości. Jednej wielkiej, tysiącletniej, bogatej w momenty historycznej wielkości i siły, któremi słusznie chlubić się możemy. Drugiej, tragicznej, kiedy, naskutek własnych przedewszystkiem win i słabości, na przeciąg

półtorawieku staliśmy się przedmiotem ucisku, lekceważenia i pogardy ze strony jednych, politowania i zdawkowego współczucia ze strony innych państw i narodów Europy. Dzisiaj żyjemy w okresie, który zadecyduje o tem, czy rozwój Polski powróci na wielkie tory historyczne, czy też na nowo zostanie zepchnięty z tych dróg, z groźbą, że powtórzyć się może hańbiąca historja narodu, który naskutek własnej słabości wyzbywa się samodzielnego decydowania o swoich losach i staje się narzędziem obcego działania.

Jesteśmy państwem w tej części Europy, która nie zakończyła jeszcze ostatecznej stabilizacji swych wielkich procesów historycznych. To też, podobnie jak przed tysiącem, czy półtysiącem lat, od naszej siły wewnętrznej, od naszego najbardziej wszechstronnego rozwoju, od naszej energji państwowej zależy, czy w tych procesach będziemy mogli odegrać rolę twórczą i planową, czy też zostaniemy zepchnięci przez innych do roli czynnika podrzędnego. Nie chodzi tu bynajmniej o to, by z naszej strony miała być prowadzona polityka takich, czy innych podbojów lub zaborów. Nie chodzi również o szczególnie militarystyczny kierunek wychowania społeczeństwa, które z bronią u nogi wyczekiwałoby tylko momentu jakiejś burzy wojennej, mogącej posłużyć za powód do przesunięcia granicy państwowej. Jeślibyśmy cofnęli się myślą ku naszej przeszłości, to łatwo moglibyśmy stwierdzić, że wielkość politycznego znaczenia Polski w okresie Jagiellonów wyrastała przedewszystkiem z zacieśniania przez nią przyjaznych stosunków z jej sąsiadami i, że dla rozwoju naszej potęgi państwowej mniej trzeba było wojen i krwi, aniżeli później dla obrony jej gasnącego znaczenia, gdy od połowy XVII wieku stała się ona terenem przemarszów obcych wojsk, korzystających przedewszystkiem z wewnętrznego rozprzężenia, będącego wynikiem osłabienia „mocy polskiego ducha", podważenia „władzy polskiej", a wskutek tego zaniku „pracy polskiej", pomniejszania się „dobra w Polsce".

Jeślibyśmy też chcieli szukać dziś formuły, którąby zawarła w sobie zadania najbliższych pokoleń polskich, wynikających z poczucia ich odpowiedzialności za państwo — to nie znaleźlibyśmy chyba lepszej, jak ta rota przysięgi wspomnianych już wygnańców-tułaczy, w londyńskim parku myślących o Polsce, jako o tym kraju, w którym z niczego trzeba stworzyć podstawy potęgi, którąby równa była angielskiej.

A tylko ta jest różnica pomiędzy ich szaleńczą pozornie przysięgą, a tem co teraz jest w Polsce, iż dziś już w rękach tych, którzy budować mają przyszłość Polski, znajdują się istotne środki i siły, że pochód nasz ku wielkiej przyszłości jest już rozpoczęty.

W pochodzie tym nie ustać, sprostać zadaniom, które może przed nami postawić historja — oto wystarczające hasła, oto idea, występująca z taką wyrazistością i siłą, iż nie dostrzegać jej mogą tylko ludzie, którzy, albo nic nie widzą poza kołem swych zainteresowań materjalnych dnia codziennego, albo też przyzwyczaili się patrzeć w dal bezkresną, z takim zapamiętaniem i fanatyzmem, iż nie umieją dostrzec tego, co jasne, bliskie i wyraźne. S.

ZAKRES WŁADZY PREZYDENTA
w poszczególnych państwach

Przed rokiem 1914 istniały w Europie tylko 3 Republiki (Francja, Szwajcarja, Portugalja). Mapa Europy powojennej wykazuje już 15 państw o ustroju republikańskim.

Niema dziś zasadniczej różnicy między Rzeczpospolitą, a monarchją konstytucyjną, która z przedwiekowych ustrojów zachowała tylko nieszkodliwe,a cieszące się zazwyczaj miłą sercu obywateli tradycją, rekwizyty. Ustroje jednak państwowe powstające z dnia na dzień, w ogniu rewolucji lub katastrofy wojennej noszą na sobie często piętno, czy to zupełnie teoretycznych przesłanek, które były wyznawane przez budowniczych nowego ustroju, czy też poprostu haseł popularnych w szerokich masach w momencie powstawania ustawy konstytucyjnej.

I tak, Konstytucja Amerykańska — przeprowadzając konsekwentnie modną w końcu XVIII wieku zasadę podziału władz i rozumiejąc jednocześnie, że nowopowstające państwo, zagubione na krańcach olbrzymiego, nieznanego kontynentu, w okresie straszliwych przemian ustrojowych w całym świecie, ostać się może oparte jedynie o potężną władzę skoncentrowaną w ręku jednego człowieka — obdarzyła Prezydenta Stanów kompetencjami, jakich nie posiada żaden z dzisiejszych monarchów, zabezpieczając się jedynie przed samowładztwem krótkością kadencji (4 lata) i zakazem trzeciego kolejnego wyboru. Natomiast powojenne Republiki Europejskie, przesiąknięte mniemaniem, że jedynem zabezpieczeniem wolności obywateli jest jaknajszerszy zasięg kompetencji ich bezpośrednich przedstawicieli w Parlamencie, zrobiły z naczelników swych Państw jedynie reprezentantów władzy, bez żadnych praw istotnych w kierowaniu losami ich narodów. Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej z 1921 r. była jedną z najdalej idących w tym kierunku.

Nim przejdziemy do poszczególnych uprawnień jakie może posiadać Prezydent Rzplitej musimy przedewszystkiem zwrócić uwagę, że sam sposób wybierania prezydenta w znacznej już mierze wpływa na jego stanowisko w Państwie. Bowiem oczywiście inny będzie autorytet Prezydenta wybranego przez naród, czy to bezpośrednio (Niemcy), czy też pośrednio przez elektorów, ze stanowczym nakazem głosowania na danego kandydata (taka się wyrobiła praktyka w Stanach Zjednoczonych), a inne Prezydenta wybieranego przez ciała ustawodawcze i zmuszonego w razie konfliktu z parlamentem bądź ustąpić ze stanowiska (C. Perier, A. Millerand — we Francji), bądź też iść na pasku większości sejmowej. Ponadto przy ogólnem głosowaniu ludowem odpaść muszą wszelkie miernoty, a mandat Prezydenta ma wszelkie szanse zdobyć jednostka istotnie zasłużona i popularna (Hindenburg w Niemczech), podczas, gdy ciała parlamentarne starają się wybrać najczęściej człowieka bez wyraźnego oblicza i nienarażającego się nikomu, choć często zupełnie niezdolnego do sprawowania władzy. Tak to w 1920 r. we Francji upadł „Ojciec Zwycięstwa" stary J. Clemenceau, a wybrana została elegancka miła nicość w postaci Prezydenta Senatu Deschanel'a, który w rok po wyborze zmarł wskutek choroby umysłowej. Jeżeli zaś wśród Prezydentów Stanów Zjednoczonych znajdowały się i miernoty w rodzaju Coolidge'a, to nie sięgając odległych czasów widzimy, że fotel prezydencki zdołali osiągnąć tacy ludzie jak Roosevelt, czy Wilson, którzy wywarli wielki wpływ nietylko na politykę swego kraju, ale i całego świata. Ostatnia zaś walka wyborcza między Hooverem, a Smithem postawiła istotnie naprzeciw siebie najwybitniejsze może indywidualności polityczne współczesnej Ameryki.

* * *

Do najważniejszych uprawnień, jakie może posiadać Prezydent Rzeczypospolitej należą: Prawo **powoływania ministrów**, prawo **zwoływania, odraczania i rozwiązywania** izb parlamen-

tarnych, prawo **veta ustawodawczego** i prawo **wydawania dekretów z mocą ustawy.**

Prawo powoływania ministrów przyznają Prezydentowi (przynajmniej w teorji) niemal wszystkie konstytucje. Jedynie Anglja (w okresie 1919 — 1929) znała „wybór" ministrów przez parlament, na co prezydent nie miał żadnego wpływu. W praktyce jednak z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych, w których ministrowie są odpowiedzialni nie przed kongresem, a przed prezydentem, oraz w pewnej mierze Niemiec i niektórych państw nadbałtyckich (zwłaszcza Finlandji) wpływ prezydentów na skład gabinetu jest iluzoryczny, gdyż parlament może w każdej chwili odmówić zaufania powołanemu przez prezydenta gabinetowi. We Francji w 1924 r. izba deputowanych zmusiła do rezygnacji prez. Milleranda obalając **każdy** rząd, który on zechciał powołać. W Polsce do 1926 r. docydujący wpływ na powoływanie rządów miał t. zw. „Konwent senjorów" i gabinety padały pokonane nie w parlamentarnej walce, ale na zasadzie kulisowych rozmów między przywódcami partyj. Ostatnie przesilenie rządowe w Czechosłowacji trwało około 4 miesięcy, gdyż poszczególne stronnictwa nie mogły dojść do porozumienia, a prezydent Massaryk, mimo dużego autorytetu osobistego nie miał możności dostatecznego wpływu na powoływanie Rządu.

Prawo zwoływania i odraczania izb, oraz zamykania sesyj sejmowych, zastrzeżone Prezydentowi w niemal wszystkich konstytucjach, pozostaje jednak przeważnie formalnością bez znaczenia. Wyjątkowo tylko Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej kilkakrotnie odraczał Sejm, w momentach, kiedy rozdrażnienie umysłów zdawało się wróżyć katastrofę i doprowadzał w ten sposób do uspokojenia społeczeństwa. Prawo rozwiązywania izb zastrzeżone w Polsce Prezydentowi przez **nowelę z r. 1926** istnieje w Niemczech, Finlandji, na Łotwie, w Turcji i nawet we Francji, gdzie jednak od czasów Mac-Mahona nigdy nie próbowano z niego skorzystać wybierając raczej (Casimir Périer) ustąpienie ze stanowiska Prezydenta, w razie konfliktu z Parlamentem.

Prawo veta jest bardziej sporne i istnieje w niektórych tylko konstytucjach. Korzystają z niego Prezydenci Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Finlandji, Czechosłowacji i t. p. Veto może być stanowcze, lub zawieszające do czasu ponownego rozpoznania sprawy przez parlament. Niekiedy np. w Niemczech łączy się z niem prawo odroczenia promulgacji (wejścia w życie) ustawy. Prawo veta, nawet tam gdzie się z niego często nie korzysta, wpływa dodatnio na poziom i przemyślenie uchwał ciał prawodawczych. W Polsce Prezydent dotąd tego prawa nie posiadał.

Prawo wydawania dekretów z mocą ustawy niezawsze bywa wyraźnie zastrzeżone w konstytucjach. Konstytucja polska przewiduje je w noweli z 1926 r. zastrzegając jednak cały szereg ograniczeń. Najczęściej Prezydent otrzymuje od izb specjalne pełnomocnictwo tylko w szczególnie ciężkich lub przełomowych dla Państwa momentach. (W Polsce w 1923/24, we Francji w 1926 dla zapobieżenia katastrofom walutowym). Pełnomocnictwa Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1926 — 28, przy niezmiernie powolnej i chaotycznej pracy ustawodawczej Sejmu, przyczyniły się do unormowania stanu prawnego w wielu dziedzinach, które od lat na to czekały, a w szczególności w dziedzinie ustawodawstwa socjalnego i organizacji sądownictwa oraz jednolitej procedury karnej dla wszystkich ziem Rzeczypospolitej.

Wreszcie specjalna ustawa, wydana również w drodze dekretu, daje słusznie Prezydentowi Rzplitej ogromne prawa na wypadek wojny.

* * *

Jeżeli — nie wdając się w szczegóły — ujmiemy rolę Prezydenta w poszczególnych Państwach to zobaczymy dwa zasadnicze jej typy. W pierwszym Prezydent jest istotnym kierownikiem Rządu (Stany Zjednoczone) — w drugim, jedynie **reprezentantem** władzy, ale nie jej **dzierżycielem** (Francja); tam bowiem faktyczną władzę sprawuje izba, gabinet zaś ministrów jest właściwie czemś w rodzaju wydziału wykonawczego tej izby.

Najnowsze jednak prądy (projekty konstytucyjne Polski, Austrji) wysuwają nową koncepcję: Prezydenta, jako zwierzchniego czynnika nadzoru, harmonji i równowagi nad wszelkiemi innemi czynnikami władzy w Państwie. I kto wie, czy w dzisiejszych, tak skomplikowanych i trudnych warunkach życia państwowego, nie jest to koncepcja jedynie słuszna.

Wł. S.

Jerzy Rolland Gietling

TAK SOBIE...

Czy to most ze mną jedzie,
wprzód unoszony nurtem,
czy... jakby to powiedzieć...
jedziemy wszyscy... hurtem?

Ulica znagła skręca —
samochód zgrzyta głośno —
a nad domami tęcza
i zimę czuć już... wiosną!

Tyle się ludzi tłoczy,
każdy skądś pędzi, po coś —
— gdybyż tak można skoczyć,
skrzydłami wwyż łopocąc!

Stadnina stu pojazdów
zatkała sobą jezdnię;
policjant: dobry gazda
podnosi ramię gwiezdne,

— i płyną równo strugi,
ta w lewo, tamta w prawo —
gdyby ktoś życiem ludzi,
kierował, jak Warszawą — —

— gdyby tak można płynąć
w płynącej naprzód masie,
nie człekiem, lecz maszyną:
wprzód! w lewo!... w swoim czasie.

INTUICJA, MATEMATYKA i PIĘKNO.

Na wstępie muszę wyjaśnić tajemnicę pewnej spółki autorskiej, gdyż bez tego czytelnicy mogliby wątpić jeśli nie w przytomność, to przynajmniej w znajomość form gramatycznych autora, który powołując się na swój artykuł, podpisany męskiem imieniem i nazwiskiem, oraz mówiąc o sobie używałby rodzaju żeńskiego.

Tajemnica więc polega na tem, że za dział sztuki w „Sterniku" odpowiedzialne są dwie osoby: kolega Bohdanowicz i ja.

Ponieważ już dość dawno pożegnałam się ze Szkołą Sztuk Pięknych, uważając, że wieczne pióro lepiej pasuje mi do ręki, kolega Bohdanowicz zaś czuje wybitny wstręt do tego narzędzia, przekładając ponad nie dłuto, igłę, rylec i inne graficzne instrumenty, podzieliliśmy pracę w ten sposób, że omawiamy zasadniczą treść artykułu, ja zaś piszę go i podpisuję, gdyż ostatecznej redakcji najczęściej nie mamy już czasu wspólnie odczytać. Wyjątek będzie stanowił artykuł o technikach graficznych, za który kol. B., jako fachowiec przyjmuje pełną odpowiedzialność.

Skończywszy ten przydługi wstęp osobisty wracam do rzeczy bardziej ogólnych.

W pierwszym artykule, aby uniknąć zamieszania, świadomie nie wspominałam ani razu jednego pojęcia, którego jednak nie da się uniknąć mówiąc o sztuce. Chodzi o pojęcie piękna.

Nie jest ono synonimem sztuki. — Mogą być rzeczy piękne, nie będące jednak dziełami sztuki, np. pewne zjawiska przyrody, lub nawet twory rąk ludzkich, (maszyny, okręty, aeroplany i t. p.), te w których piękno zjawia się najczęściej jako pewnego rodzaju produkt uboczny, jeśli można użyć technicznego porównania.

W prapoczątkach ludzkiej twórczości, w tych jej dziedzinach, w których nie stara się ona naśladować natury, a więc w budownictwie i zdobnictwie pewne formy i proporcje dają się zauważyć częściej niż inne.

Dotyczy to form i proporcyj, które w potocznej mowie określamy jako ładniejsze niż inne. Gdy patrzymy na nie, działają one na nasz system nerwowy w sposób wywołujący wrażenie fizycznego zadowolenia.

Takie same uczucia fizycznego zadowolenia przez zmysł wzroku otrzymujemy z pewnych zestawień barwnych, przez zmysł słuchu z pewnego zestawienia dźwięków.

Do wyodrębnienia tych wrażeń z pośród innych możliwych kombinacyj kształtów, barw czy tonów, ludzkość doszła intuicyjnie, podobnie jak intuicyjnie dochodzi do nich dziecko, gdy jednak zaczęto naukowo badać tę sprawę, okazało się, że najharmonijniejsze w proporcjach wydają się nam te formy, których poszczególne wymiary (długość, szerokość, wysokość), są w stosunku liczb całych i najprostszych. Tak samo rzecz się ma z tonami, harmonizującemi ze sobą i zestawieniami barwnemi. Stosunek, ilość drgań na sekundę, wyrażony jest tam podobnie prostym stosunkiem cyfrowym. Tak to pojęcie zdawałoby się najbardziej nieokreślone jak piękno znajduje uzasadnienie w najściślejszej z nauk — matematyce.

Tłomaczenie jest jak zaznaczyłam próbą wyjaśnienia genezy pojęcia piękna, i jakkolwiek nie wyczerpuje go bynajmniej, pozwala jednak zrozumieć, dlaczego konstrukcje i maszyny, nie pomyślane w założeniu swem jako dzieło sztuki, lecz oparte na formach geometrycznych i obliczeniach, w całem swem skomplikowaniu dążących do możliwie największego uproszczenia, mogą wywołać w widzu wrażenie piękna.

O ściślejszą definicję tego pojęcia kusić się nie będę, gdyż zbyt wielu teoretyków sztuki dyskutowało na ten temat nie osiągnąwszy ostatecznego i niewzruszalnego rezultatu, proponuję natomiast tym, których zainteresowała sprawa wywoływania przyjemnych wrażeń przez pewne proporcje figur, aby przeprowadzili kilka doświadczeń.

W tym celu trzeba wyciąć z papieru kilka prostokątów o proporcjach boków: 1 : 2, 2 : 3, 3 : 4, 5 : 8, 2 : 2,2, 3,7 : 4.

Jako 1 należy przyjąć nie centymetr, gdyż figury wypadłyby zbyt małe, ale 10 cm. lub 10 kratek kratkowanego papieru. Lepiej jeszcze byłoby ćwiczenie to zacząć od końca, t. j. wyciąć albo założyć z papieru kilka prostokątów, które wydadzą nam się najzgrabniejsze, a później obliczyć jak wyraża się w nich stosunek długości boków. Następnie ciekawe byłoby pomierzenie szeregu użytkowych przedmiotów posiadających kształt prostokąta lub prostopadłościanu: okno, książka, koperta, arkusz papieru listowego, pudełko, stół i tp. i zbadanie jakie proporcje najczęściej się spotykają. Naturalnie przy mierzeniu dużych przedmiotów kilku milimetrów, czy nawet całego centymetra na kilkadziesiąt można nie brać pod uwagę, tak np. stosunek boków przedmiotu mającego wymiary 40 cm $\times$ 61 cm możemy określić jako 4 : 6, gdyż wtedy proporcję odczuwamy w przybliżeniu.

Jak zaznaczyłam, nie jest to wyczerpująca ani niezawodna recepta na rozpoznanie rzeczy pięknych, zwłaszcza, że da się zastosować tylko do wąskiego zakresu wrażeń plastycznych. Co do spraw dyssonansów i konsonansów w muzyce — poparcie własnych wrażeń słuchowych możemy znaleźć tylko wierząc na słowo profesorowi fizyki, który powie w jakim stosunku są ilości drgań na sekundę poszczególnych tonów, a co do wrażeń barwnych to pewien materjał mogą dać wprowadzane gdzieniegdzie na rysunkach ćwiczenia i objaśnienia z teorji barw.

Niejednego z Czytelników zdziwi może cały sposób podejścia do zagadnienia piękna, o którem mówi się najczęściej poetyczne i mgliste frazesy nabożnie ściszonym głosem. Przedewszystkiem znalezienie punktu styczności poezji z matematyką nic pięknu nie ubliżyło, bo matematyka to poezja wszechświata, po drugie chodziło mi właśnie o przeciwstawienie się mglistości przez wskazanie właśnie tej strony zagadnienia, świadczącej, że zjawiska, wywołujące przyjemne wrażenia, które do naszej świadomości dochodzą jako pojęcie piękna, dadzą się ująć w pewien system i podporządkować pewnym prawom.

Skoro to jednak takie proste, pomyśli znowu Czytelnik, skoro przyjemne wrażenie wzrokowe lub słuchowe wystarczy do określenia, czy coś jest piękne, to czemu tak trudne ma być osiągnięcie współżycia ze sztuką, o którem była mowa w poprzednim artykule. Niestety sprawa wcale nie jest taka prosta, przedewszystkiem dlatego, że mało kto umie w tak bezpośredni, pierwotny sposób odczuć piękno.

Składa się na to kilka przyczyn. 1) Wrażliwość nasza jest stępiona przez nadmiar wrażeń, jakich dostarcza cywilizacja. 2) Od najwcześniejszego dzieciństwa ulegamy całemu szeregowi wpływów, z których nawet nie zdajemy sobie sprawy, a które urabiają nasze poglądy estetyczne zanim jeszcze nauczymy się rozumieć co to znaczy. 3) Zdezorjentowani jesteśmy nadużyciem wyrazu „sztuka".

W całym tym chaosie staramy się znaleźć jakąś drogę i wybieramy najgorszą — staramy się piękno i sztukę zrozumieć, a to się nie da zrobić. Tymczasem zrozumieć trzeba tylko jedno, że człowiek ma zdolność odczuwania piękna tylko, trzeba ją odgrzebać z pod warstw naleciałości i wpływów i ją dopuścić do głosu, nie zaś mało przydatną w tym kierunku zdolność rozumowania.

Do odgrzebania tej utajonej zdolności bezpośredniego reagowania na wrażenia, do odrzucenia balastu nachwytanych z powietrza cudzych zdań, sądów i metod badania, może dopomóc zwrócenie uwagi na rzeczy tak proste, że przeważnie niedostrzegane. Mam wrażenie, że jedną z takich jest sprawa proporcji, którą dziś poruszyłam. Spróbujcie odszukać w sobie zdolność intuicyjnego wyczuwania dobrych proporcyj. Znajdziecie ją zaś patrząc uważniej niż dotąd na to, co was otacza — pod tym jednym na razie kątem. Więcej materjału do obserwacji postaram się wskazać w następnym numerze.

J. Prażmowska.

HEROIZM MAŁYCH LUDZI

Każda z właściwości, jakiemi może się odznaczać człowiek, zdolna jest do wywołania podziwu, wzbudzenia szacunku, zrodzenia uniesień i zachwytów — jeśli tylko występuje w jaskrawej formie, w niecodziennem, rzadko spotykanem nasileniu.

Entuzjazmujemy się nieraz pięknem, głęboko schylamy czoło przed rozumem, hołd składamy dobroci. Imponuje nam bogactwo, zazdrość wzbudza sława.

Niemasz jednak zdaje się cechy tak pożądanej i tak podziwianej, jak bohaterstwo. Bohater jest niezawodnie „bohaterem" ogromnej większości młodzieży, upragnionym celem. ku któremu dąży, chociażby w marzeniu.

Jakie są cechy charakteru bohatera? Przedewszystkiem odwaga. Odwaga bezgraniczna, ale nie ślepa, ale nie bezmyślna, a podporządkowana szlachetnemu celowi. Bohater gotów jest poświęcić się ofiarnie, ale tylko w imię wzniosłej idei, dla osiągnięcia jakiegoś wyższego celu. Zbyt ceni wartość swego życia, by je oddać zadarmo. Ceni je nie dla siebie, nie dla uciech materjalnych, ale dla tych korzyści jakie, żyjąc, może przynieść społeczeństwu. Czasem wprawdzie umiera dla samego pięknego gestu, lecz w słusznem przeświadczeniu, że ten gest oczaruje tysiące, zapali niezliczone serca.

Gdy więc młodzieniec za cel swój bierze „bohatera" — nie trzeba go nazywać pobłażliwie romantykiem, ani pogardliwie pyszałkiem. Bohater prawdziwy jest nietylko chlubą i ozdobą dumy narodowej, ale i najpożyteczniejszym członkiem społeczeństwa.

Im więcej posiądziemy serc bohaterskich, im więcej mieć będziemy ludzi o stalowej woli, o żelaznych nerwach, gardzących bólem i cierpieniami, wierzących niezachwianie w przyświecające im ideały — tem słoneczniejsza będzie przyszłość narodu.

Nie od każdego wymaga się, by wyrósł ponad obłoki, by dotarł do najwyższych szczytów moralnej wielkości. Nie od każdego wymaga się „rekordów woli". Nie od każdego żąda się ekspedycji podbiegunowej, czy zdobycia Everestu, przepłynięcia Atlantyku w czółnie, jak Gerbault, lub przelotu nad nim, jak Lindbergh. Nie od każdego też się żąda skoku do Elstery.

Od przeciętnego obywatela żąda się rzeczy przeciętnych. Wystarcza, by się w nim zapaliła maleńka iskierka bohaterstwa, iskierka, która może nawet nigdy nie przekształci się w jasny płomień. Wystarczy, by został zarażony heroizmem.

Im powszedniejszą, wśród danego narodu, jest ta zaraza — tem większe przed nim otwierają się perspektywy, tem większe będzie jego zaufanie we własne siły, śmielsze pożądania i poczynania, mocniejszy autorytet. Kilku wielkich bohaterów posiadać — to daje dużo. Setki tysięcy bohaterów szarych, setki tysięcy heroicznych małych ludzi — to daje nieporównanie więcej.

Powiedzą niektórzy: poco małym, nieznaczącym ludziom heroizm? Na co się zdadzą ich wyczyny? Jaką one rolę odegrać mogą? Nikt ich nie zobaczy, nikt ich w poemacie nie uwieczni. Nie zyskają sławy nieśmiertelnej, a dla kraju, czy dla ludzkości — pożytek nie będzie taki wielki! Więc czy warto skakać wyżej własnej głowy?

Czy warto! Oczywiście — pomniki stawiają nie wszystkim; oczywiście — wyobraźnię poetów i zachwyty entuzjastyczne młodego pokolenia zapładniają przykłady największych. Lecz zato prawdą jest niezbitą twierdzenie, że to dobro i piękno, jakie jeszcze znaleźć można na tej ziemi — zawdzięczamy przedewszystkiem wysiłkom heroicznym małych ludzi.

Heroizm małych ludzi! Jest go więcej, i jest on sto razy piękniejszy — niż ktokolwiek przypuszczaćby potrafił. Jest on tak częsty, że przytaczać przykłady znaczyłoby to powtarzać komunały. Heroizm strażaka, heroizm policjanta, heroizm codzienny górala-przewodnika; heroizm tradycyjny marynarza i sam przez się zrozumiały heroizm rybaka. A także heroizm lekarza, pielęgniarki, heroizm wytrwały górnika, chemika, ocierającego się o groźbę straszliwego wybuchu, elektrotechnika, manewrującego między milczącemi piorunami. Heroizm nauczyciela ludowego, zwalczającego zapamiętałe przesądy uparte, upartą ignorację...

Wreszcie, ciche wielkie bohaterstwo szeregowca piechoty! Ci mali, nieznani, bezimienni, anonimowi — jak często podnoszą się do takich wyżyn poświęcenia i samozaparcia, do takich poziomów mocy ducha — do jakich dojść nie umieli nawet ci — którymi się świat cały szczyci, którym wypisują i wyśpiewują hymny.

Mówiłem — przykłady trącić będą komunałem, będą banalnem powtarzaniem rzeczy oklepanych. Ale nie — weźmy jednak parę wzorów, zobaczymy bliżej, jak wygląda taki skromny heroizm małych ludzi.

Wojna polsko - bolszewicka. Odwrót. Zdziesiątkowane pułki cofają się pośpiesznie, żołnierze znużeni, zgłodniali, obdarci. Oddział przemaszerował, po błocie, czterdzieści kilometrów. Zatrzymuje się na noc. Od wroga, który depce po piętach, oddziela tylko wąska rzeka. Rozstawiono posterunki, by jej pilnowały.

Szeregowiec Stanisław Baran stał na posterunku najważniejszym, tam, gdzie był bród, gdzie nieprzyjaciel najłatwiej mógł się przeprawić, by napaść znienacka zmożone snem kompanje polskie. Kazano mu pilnie uważać.

Stasiek był prostym, trochę przygłupim parobczakiem wiejskim. Nie wiedział, skąd się idzie, dokad i poco, ale wiedział. że służy Ojczyźnie, i że tej służby lekceważyć nie wolno. Więc mimo krańcowego zmęczenia, mimo, że oczy mu się kleiły, mimo, iż rzemień karabina parzył ramie, a nogi w zdartych butach mocno dolegały, stał i wytrwale patrzył w pluskające wody.

Stał godzinę, dwie. Zdawało mu się — że już czas przyszedł, by go zluzowano, lecz nie przychodził nikt. Niepokoił się trochę Stasiek, coraz to częściej skierowywał bezmyślne spojrzenie swych okragłych, niebieskich oczu w polską strone. Nie szedł nikt. Czy zluzować go zapomnieli? Chodził i chodził, biegał tam i nazad naumyślnie, by opierać się nieprzewyciężonemu pożądaniu wypoczynku. Musiał brudnemi paluchami podnosić opadające powieki.

Przeszły trzy godziny, cztery. A może — przestraszył się chłopak — nasi poszli, cofneli się znowu, a on sam jeden pozostał wśród moskali? Już miał iść szukać swoich, gdy się zastanowił: bez rozkazu zejść z posterunku nie wolno. Więc zejść nie może.

Przeszło pięć godzin. Stasiek Baran czuł, że nie oprze się, że zaśnie, że przestanie pilnować brodu, że obowiazku żołnierskiego nie spełni jak należy. Że to jest ponad jego siły. Zmarszczył czoło, zaczął tępo myśleć. I wtem zdecydowanie podszedł do brzegu, wszedł do wody aż po kolana. I tak przestał z karabinem w ręku, aż do rana. Pilnował, by koledzy mogli spokojnie i bezpiecznie spać. Stasiek Baran — przygłupi parobczak wiejski, żołnierz polski.

Wiktor Junosza

(dok. nastąpi)

ZAMIAST FELJETONU

Jak to wszystkim dobrze wiadomo (choćby z własnych przeżyć), każdy prawie (bez względu na płeć, lub może nawet z przewagą płci pięknej) w wieku lat od 14 do 18, choć przez krótki przeciąg czasu pisał pamiętniki.

Otóż przed paroma dniami wpadł mi w ręce fragment mojego własnego pamiętnika, pisanego w czasie wakacji po przejściu z klasy piątej do szóstej.

Niech mi więc tego moi mili czytelnicy nie biorą za złe, ale postanowiłem podzielić się z niemi wrażeniami tego dnia z mej niezbyt jeszcze odległej przeszłości.

Gdyby ktoś był ciekawy co mnie do tego skłoniło to mu zaraz wyjaśnię. Otóż, wy Drodzy Czytelnicy macie możność wypowiadać się w ,,Kolumnie Młodych Piór", a ja jej nie miałem. Dziś więc, kiedy znalazłem swój pamiętnik postanowiłem zadebiutować, jako uczeń piątej klasy, choć ja już nim nie jestem, ale pamiętnik jest. Zawsze lepiej późno, niż wcale mówi przysłowie!

A więc do rzeczy! Baczność! Zwrot ku przeszłości!

PAMIĘTNIK.

Dnia 19 lipca 192... Od samego rana byłem dziś bardzo rozmarzony i smutny. Śniła mi się ,,Ona", imienia nie piszę, bo ktoś mógłby się domyślić o kim pisać będę. Do południa nic się nie stało ważnego. Dopiero nad wieczorem wyciągnęli mnie siłą niemal na polowanie — nie miałem chęci, byłem smutny.

Dzień był ładny i należało się spodziewać dobrego ,,ciągu", kaczek moc. Towarzysze moi byli jaknajlepszej myśli, mnie to wszystko było obojętne. Cóż bowiem obchodzić mogło człowieka który tęsknił?!.

Uległem złudzeniu, że osobowość moja rozdwoiła się. Nogi miarowym marszem niosły mnie na ,,centralną" groblę (zważywszy moją melancholję obiecali mi najlepsze stanowisko), a równocześnie myśli, dusza wędrowały gdzieś daleko... do kraju sennych mar i słodkich złudzeń.

Wreszcie rozstawiliśmy się na stanowiskach. Zostałem sam. Oparty o kupę zżętej trzciny z dubeltówką spoczywającą wygodnie na lewem przedramieniu wpatrywałem się uważnie w rozpostartą przedemną panoramę stawów.

Błękitne niebo pokryło się rzadkiemi obłoczkami, ubarwionemi przez zachodzące słońce na kolor różowy.

Przedemną falowało sennie szelestne morze trzcin; za mną połyskał rubinową łuską drobnych fal wąski pas wody i dalej znowu ruchome pole szuwarów, trzcin i traw.

Kołysze je lekki powiew wiatru, kołysze... Szemrzą, gwarzą...

Jakie to wszystko poetyczne!

Żebym to ja kiedy mógł pisać wiersze... być poetą... takim prawdziwym poetą. Marzenia moje doszły tu do kulminacyjnego punktu i rozpłynęły się falą mieniących się barw. Potem przyszły refleksje. Poeta musi się kochać!...

— Idą!

Okrzyk ten dobrnął do mej świadomości. Co ,,dzie", gdzie, zastanawiałem się z trudem. Nagle słyszę lekki świst skrzydeł. Acha, kaczki idą. Prawda, kaczki, jak to się któryś z nich drze, i poco, kaczki już przecież poleciały.

Znów cisza. Można dalej marzyć. Więc, żeby się tak zakochać... Nagle olśniła mnie jak błyskawica śmiała myśl: przecież ja się kocham w ,,Niej", przecież... Znów krzyk jakiś, potem strzał i uparta myśl: pewno Stefek zabił kaczkę, daj mu Boże... Ale to nic, ja się kocham, napewno!

— Jakie ona ma cudne oczy — szepczę cichutko.

I wtedy właśnie spostrzegłem (zupełnie mimo woli) na czerwonem tle zachodniej zorzy zbliżający się ku mnie szybko mały czarny punkt.

— To kaczka leci — wskoczyło nagle w tęczową gęstwę marzeń i zaraz potem: — Jakie ona ma oczy!... (Do licha, przecież ,,Ona" nie kaczka — mruknąłem niezadowolony).

— Gdyby chciała, gdyby chciała...

Wszystko mi myli ten czarny punkt rosnący szybko na jasnem tle zachodu. Poco ta kaczka tu leci, ma przecież tyle miejsca, a właśnie musiała przylecieć tu i teraz, właśnie teraz.

A uparte marzenia są silne, nic ich nie zgnębi, snują się dalej: Szara godzina, cisza, ogień na kominku pali się złoto,

ODPUSZCZAMY...

Pełzły dni leniwe.

Splatały się w tygodnie, miesiące, lata.

Ziarnko do ziarnka.

Dni wiosenne, pachnące, jasne, wyświeżone niczem fryzjerski chłopak. Czasami ckliwe, jak letnia woda z cukrem.

Upalne dni lata. Hojnie wyzłocone słoneczną łaską. Gaworzące falowaniem zbóż, o nocach krótkich, cyzelowanych migotem spadających gwiazd.

Jesienne — dziwnie przygasłe. Obce, w suchym chrobocie cudownie barwionych liści. To znów hukające gonitwą rozhasanych wichrów, pluskiem ciężkich, bezbarwnych kropel dżdżu.

Wreszcie rzeźbione w srebrze i sinej bieli — dni zimowe. Szarpiące złą pieszczotą mrozu, kolące jasnością martwych, wszędobylskich śniegów.

Tylko dla Orlika wszystkie były jednakowe. Wczoraj, tak jak dzisiaj, dzisiaj, tak jak jutro.

O tej samej godzinie wychodził z chorągiewką przed domek, aby pokazać się biegnącym w dal, zasapanym pociągom. Przez dzień cały zajadle pucował latarnie, zwrotnice, sygnały, lustrował swój odcinek toru, o zmierzchu zapalał kolorowe źrenice lamp sygnałowych.

Codziennie to samo.

Dziś tak, jak wczoraj, wczoraj, tak jak jutro.

W lecie witał radosne błyski wschodzącego słońca. Zimą, starcze, biedne oczy pilnie szukały w nieprzeniknionej czerni — przedświtu, jaśniejszego pasemka jutrzni.

Tak przez trzydzieści parę lat.

Przez ćwierć wieku z okładem. Na tem samem miejscu, w tym samym domku.

Stary był Orlik.

Wielki łeb wysrebrzyło niczem śniegową pierzynę. Na pokurczonych barach olbrzyma rozsiadł się pewnie siódmy krzyżyk.

Usadowił się i gniótł. Na siłę wpychał do ziemi, do piachu.

Czas...

Ale w chłopie siedziała dziwnie rogata, twarda dusza.

Nie dawał się.

Jeszcze szczeniakiem był, a już nędza w oczy zajrzała, szła ku gardłu, jak po swoje.

Chciało się wtedy jakimś warjatom wojować z ,,ruskiem", jakieś powstania urządzać, chociaż zima była przykra, nędza zaglądała...

Wsiowi ludzie gadali, że sołdaty na tych powstańców to — straszne zajadłe, za wykrycie oddziału, moc złotych, okrągluśkich rubli dawali.

W borach, pod wsią obozował oddział.

Jak nędzarze, dziady. W łachmanach, błocie, nawet bez strawy gorącej, bali się, by ich dym nie wydał. Wsiowi ludzie wiedzieli, nawet prowiant nosili. Toć swoim, chrześcijanom.

Nikt pary z gęby nie puścił.

Ale Michał był wtedy młody, durny, dziewczynę miał na oku, a tu nędza.

Jakiś czort zaczął przed oczyma cudaczne obrazki malować, złotem łachotliwie pobrzękiwać.

Kusić...

Sypnął się chłopak nocą czarną do miasteczka. Rwał przez puste pola, przez wiatrem rozgwarzone, zaśnieżone lasy, jakby go „złe" gonilo.

W miasteczku — rubli dali, gorzałką napoili. ,,Naczalstwo" jakąś robotę przyobiecało.

po pokoju pełzają bure cienie... ja, jak mały paź siedzę u jej nóg, u nóg złotowłosej królewny... Ona pochyla się ku mnie... Szara godzina...

— Strzelaj idjoto — drze się Stefek.

Machinalnie podnoszę dubeltówkę do twarzy. Bydlę — myślę o moim sąsiedzie i z szeptem „Szara godzina"... na ustach ściągam cyngiel.

Huknął strzał jeden, potem drugi. Kaczka naturalnie poszła zupełnie zdrowa. A ja zostałem owiany szarą mgłą dymu z rozchylonemi ustami, które wymawiały jeszcze jakieś tajemne wyrazy „małego pazia" — na ziemię właśnie padał mrok wieczoru.

P. S. Tego dnia pokłóciłem się bardzo z memi towarzyszami polowania, bo nie chcieli wierzyć, że mi w czasie strzału coś wpadło w oko i, że tylko dlatego nie trafiłem. Oni twierdzili, że jestem marzyciel i fajtłapa!

* * *

Tyle z mej piątoklasowej przeszłości i taki był mój debiut literacki. Osądźcie go sami moi czytelnicy, proszę uprzejmie — dając go wam zamiast feljetonu

Michał Ochorowicz.

Starość i Śmierć

Od niepamiętnych czasów zagadnienie starości i śmierci odgrywa wielką rolę w życiu duchowem ludzkości. Wystarczy zwrócić uwagę na znaczenie, jakie ma we wszystkich religjach wiara w nieśmiertelność duszy, którą można uważać za pewnego rodzaju bunt przeciw nieubłaganej konieczności śmierci. Nie zadawalając się jednak perspektywą życia pozagrobowego podjęto szereg prób w celu zwalczenia śmierci, a przynajmniej przedłużenia życia. Musimy odrazu podkreślić różnicę, jaka istnieje między t. zw. śmiercią nienaturalną, czyli wywołaną przez czynniki zewnętrzne, jakoto choroby, złowrogie siły przyrody i t. p., oraz śmiercią naturalną, czyli, jak się to mówi, śmiercią ze starości.

W walce ze śmiercią nienaturalną osiągnęła ludzkość wielkie sukcesy, zawdzięczając je przedewszystkiem poznaniu przyczyn, wywołujących ją, oraz opanowaniu sił przyrody, które stawało się coraz skuteczniejsze w miarę rozwoju nauk przyrodniczych. Trudno sobie wyobrazić, ażeby w obecnych czasach mogła się zdarzyć zaraza taka jak ta, która w latach 1347 — 1350 spowodowała śmierć ¾ ludności Europy.

O postępach, jakie osiągnęła ludzkość w walce ze śmiercią z przyczyn zewnętrznych, świadczą następujące liczby, dotyczące średniej długości życia w Niemczech w ostatnich dziesiątkach zeszłego stulecia. W okresie od 1871 — 1880 średnia długość życia dla mężczyzn wynosiła 35,58 lat, od 1881 do 1890 — 37,17, i od 1890 do 1900 — 40,56 lat, a więc w ciągu 30 lat wzrosła o około 14%.

Natomiast sprawa zwalczania śmierci naturalnej do ostatnich czasów nie zrobiła żadnych postępów. Wprawdzie śmierć czysto naturalna, która nie byłaby wywołana przez jakiekolwiek czynniki zewnętrzne, a wynikałaby jedynie z wewnętrznych warunków, jest zjawiskiem tak rzadkiem, że niektórzy uczeni powiątpiewają, czy wogóle kiedykolwiek ma miejsce. Dotyczy to zwłaszcza zwierząt dzikich, które są o wiele więcej narażone na zgubne działanie czynników zewnętrznych, aniżeli zwierzęta swojskie, lub człowiek. Jednak nawet wśród ludzi, według Miecznikowa, śmierć naturalna, o ileby wogóle występowała, należałaby do niesłychanie rzadkich wyjątków. Powiada on, że gdy się pomyśli, że człowiek, który według niego żył najdłużej, Tomasz Par, umarł przeżywszy 152 lat i 9 miesięcy z ...przejedzenia, a więc z przyczyn zewnętrznych, trudno będzie przyjąć śmierć naturalną u ludzi, którzy żyli znacznie krócej.

Pomijając już to, że argument ten jest jednak mało przekonywujący, musimy stwierdzić, że całokształt zjawisk nazywanych starzeniem się, a które są faktem, nie dającym się zaprzeczyć, musiałby wkońcu doprowadzić do śmierci nawet wówczas, gdyby się udało uchronić organizm od wszelkich szkodliwych dlań czynników zewnętrznych. Wobec te-

---

I poprowadził Michał Orlik, wnuk napoljońskiego lansjera dwie sotnie kozaków, trochę jegrów, „puszki" dudniące na tych, tam...

Nad ranem się zaczęło.

Kołtuniły się z nad grzęzawisk mgły brunatno-szare. Do twardej, stalowej jasności dnia uśmiechała się płachtami śniegu popstrzona ziemia. Bór tylko jeszcze czerniał leniwie, aż prysnęły w mroczne gęstwiny salwy jegrów, „puszki" zaczęły macać tłamsząc stare, zadumane dęby.

A chłopak wlazł gdzieś wysoko, na plątaninę konarów i — patrzał głupkowato.

Patrzał jak „tamci" w każdej dziurze kryją się, za pniami, za kopczykami.

Jak zęby kapsle nabojów rwą, a sine lufy raz w raz piorą w Moskala.

Jak walą się w błotną maź ci krezusowi nędzarze dekorowani krwią własną, a postrzępieni niczem łachmany.

„Ruski" zwyciężyli.

Wytłukli kośbą karabinowych salw, wyrżnęli bagnetami, albo jak na młócce — kolbami.

Poddawać się nikt nie chciał.

Orlik musiał ze wsi uciekać. Ludzie unikali go, patrzyli niczem na zapowietrzonego.

Czasami budził się w nocy i... słuchał.

Coś tłukło się po izbie, a z za szyb szedł jęk okrutny i podły, psie skomlenie. Na łbie strach kudły mierzwił. Po krzyżach sunął lód...

Poszedł się Moskalom przypomnieć. Że to niby przysłużył się carowi-batiuszce.

Hojni byli. Dróżnika dali. Ładny domek murowany z obejściem, daleko od wsi ojczystej, zupełnie w innej połaci kraju.

Ledwo się zadowolił — kobieta zmarła. Musiał sam dzieciaka niańczyć, o pożywienie dbać. Ludzi się jakoś bał.

A dni wlokły się za dniami. Coraz to więcej przejeżdżało pociągów. Coraz szybszych. O wiorstę od domku Michała wyrosła stacyjka, rozszerzono tory, wplatając nowe wstęgi szyn. Poustawiano zwrotnice, semafory...

A Orlik tak samo wstawał o świcie, przyjmował gościnnie wiecznie śpieszące się pociągi, przestawiał zwrotnice, zapalał sygnały, sprawdzał tor.

Z sieroty wyrosła dziewczyna jak łania.

Gospodarna, wesoła. Aż lżej teraz staremu było.

Nie na długo.

Przyjechało kiedyś drezyną „naczalstwo". Stary odświętny kitel ubrał, czapkę piękną i dalejże z dumą po swoim odcinku oprowadzać, pokazywać, tłumaczyć.

A tymczasem mechanik do Zośki kopyrczaki smalił. Tamci odjechali, dziewczyna została, ale już jakaś inna... Przygaszona, dziwna.

Nawet nie pytał. Tylko jeszcze bardziej przygięły się bary do ziemi. Jeszcze dłużej, żarliwiej modlił się nocami przed glinianą statuetką Chrystusa, walił bochnami pięści w twardą, chłopską pierś.

Dziewczyna zniknęła.

Nabazgrała ojcu, że: „...tak dłużej nie może, idzie w świat szeroki..." I poszła.

Jakby go złamało. Już nie był taki usłużny dla władzy, już nie kłaniał się tak nisko, nie patrzał w oczy niby bity pies. Z pod krzów szpakowatych brwi ponuro jarzyły się migotliwe źrenice, a ze skulonych w kułak, twardych dłoni, aż trzask szedł.

W letnie noce siadywał stary w małym ogródku i gnał spracowanemi oczami het, tam gdzie już kończyły się ogieńki semaforów, gdzie

go musimy jednak śmierć naturalną, niezależnie od rzadkości jej występowania, uznać za nieunikniony kres wszelkiego życia indywidualnego. Temi właśnie zjawiskami starzenia się i związaną z niemi śmiercią naturalną, ich przebiegiem, przyczynami wywołującemi je, oraz ewentualnemi sposobami zwalczania zajmiemy się obecnie.

Nie będziemy tu przytaczać opisu zewnętrznych objawów starości, które są dostatecznie znane każdemu z własnej obserwacji i podamy tylko zmiany, jakim podlegają narządy wewnętrzne. Zmiany te można w krótkości przedstawić następująco: pierwszym objawem jest zmniejszenie się wielkości i wagi narządów. Tak np. przeciętna waga nerki dorosłego człowieka wynosi 170 gramów, natomiast w wieku od 61 do 88 lat waga prawej nerki spada do 99,7 gr., zaś lewej do 105,8 gr.

Drugim objawem jest przerastanie miejsc, powstałych naskutek zmniejszania się organów, przez tkankę łączną, która spełnia w organizmie rolę drugorzędną. Wypełnia ona przestrzenie między tkankami szlachetnemi, łącząc je i spełniając funkcje podporowe. To przerastanie narządów wyspecjalizowanych w kierunku pewnych określonych czynności przez tkankę łączną, nazywamy sklerozą. Towarzyszy mu twardnienie tkanek, powodowane, odkładaniem się soli wapniowych. Najwyraźniej zachodzą te zmiany w ściankach naczyń krwionośnych, gdzie noszą one nazwę arterjosklerozy, wywołując zanik ich elastyczności, wskutek czego może nastąpić pęknięcie tych naczyń. Pęknięcie to, o ile ma miejsce w mózgu, wskutek ciśnienia wywieranego przez krew na ośrodki nerwowe, wywołuje paraliż, a częstokroć nawet śmierć.

Sole wapniowe, odkładające się w tkankach, pochodzą z kości, które naskutek utraty składników mineralnych stają się bardziej kruche.

Wszystkim tym zmianom zachodzącym w tkankach, towarzyszą zmiany w ich elementach. Jak wiadomo, najprostszym składnikiem organizmów wyższych są komórki, składające się z t. zw. protoplazmy, czyli zarodzi i jądra. Komórki te, drogą różnicowania się, obejmują poszczególne funkcje organizmu. Zespoły tak zróżniczkowanych komórek nazywamy właśnie tkankami. Otóż przyczyną zmniejszania się organów jest degeneracja i rozpad tworzących je komórek. Degenerację tę poprzedza, a prawdopodobnie i warunkuje odkładanie się w komórkach ziarenek pigmentu, czyli barwnika o charakterze tłuszczowym. Barwnik ten występuje już w bardzo młodych komórkach, w szczególności w komórkach nerwowych, przyczem, w miarę starzenia się ich, ilość jego wzrasta. Z biegiem czasu wypełnia on całą plazmę komórki, powodując zmiany jej struktury, zmniejszenie wielkości i nieregularny kształt, i wreszcie doprowadza ją do zupełnego rozpadu. Na miejsce zniszczonych w ten sposób komórek wrastają niezróżniczkowane komórki tkanki łącznej, który to proces opisaliśmy już jako sklerozę. Oczywiście zmiany te muszą wywołać osłabienie czynności zaatakowanych narządów. Ponieważ czynności większości tych narządów są niezbędne dla utrzymania życia, więc zahamowanie ich musi doprowadzić do śmierci. Odnosi się to zwłaszcza do systemu nerwowego i serca, gdyż pierwszy z nich warunkuje zgodne współdziałanie wszystkich innych oganów, zaś drugie nieustanny ruch krwi, bez którego organizm musiałby się udusić.

Spróbujmy teraz wyjaśnić przyczynę powyżej opisanych zmian. Widzieliśmy, że przyczyną bezpośrednią była śmierć komórek, wchodzących w skład tkanek szlachetnych. Zobaczmy, czy śmierć jest koniecznym udziałem wszystkich komórek. Jak wiadomo wszystkie organizmy wielokomórkowe powstają pośrednio lub bezpośrednio z pojedyńczych komórek, zwanych komórkami płciowemi, drogą wielokrotnego ich podziału. Przy podziale tym masa komórki pierwotnej zostaje zużyta do wytworzenia dwóch potomnych, tak że pierwotna komórka, jako indywiduum, zanika dając życie dwóm innym. Mamy tu więc do czynienia ze znikaniem komórek pierwotnych i powstawaniem potomnych, zjawiska tego jednak nie można nazwać śmiercią komórek pierwotnych, gdyż niema tu nieodwracalnego ustania zjawisk życiowych, stanowiącego istotę śmierci. Wspomniany podział nie jest jednak nieograniczony. Z chwilą gdy organizm osiągnie pewien określony wiek, stopniowo w rozmaitych jego częściach następuje zahamowanie podziałów komórkowych. Uzewnętrznia się to w stopniowo coraz wolniejszym wzroście organizmu — procentowy przyrost wagi w miarę rozwoju organizmu coraz bardziej maleje. W różnych organach ustanie podziałów komórkowych może nastąpić w różnych okresach rozwoju. Tak np. komórki nerwowe człowieka przestają się dzielić z chwilą

---

jak poszarpane zwaliska czerniała ściana boru. Tam tor skręcał w bok i srebrne, pełzające sznury szyn wlokły się leniwie w bezkresną, nieznaną dal.

Tam była jego Zośka.

Dostał od niej list. Z beznadziejnych kulfonów niezdarnego pisma, gadały do niego złe słowa. O nędzy dalekiego, ruskiego miasta, o mężupijaczynie, o dzieciach wałęsających się po ulicy, o całej, potwornej biedzie.

Znów wlokły się dni. Wiosenne, letnie, jesienne, zimowe. Gnały zadyszane pociągi. Brzęczały monotonnie srebrne nerwy drutów telegraficznych.

Po świecie hulały powodzie.

Trzęsienia ziemi.

Rewolucje.

Wojny darły się za łby.

Ludzie rodzili się, umierali.

Coś się działo.

Tylko w dróżniczym domku było tak samo cicho, tak samo pusto, szaro i zimno.

Stary nawet wnuków nie mógł zobaczyć.

A był chłopak i dziewczyna. Ale mieszkali tak bardzo daleko...

Czytał więc tylko z mozołem, sto razy już oglądane listy. Wtedy coś tego wielkiego chłopa tak mile pieściło, coś łachotało, tak jak puch, jak wiosenna woń kwitnącego jaśminu.

Zajrzała wreszcie zmiana i do dróżniczego domku.

Patrzał stary z podziwem na długie różańce pociągów wypakowanych setkami sołdatów, jaszczy, armat. Wlokły się bez przerwy, bez wypoczynku, dzień i noc, dzień i noc.

Na zachód,

Czasami transporty zatrzymywały się w polu. Sołdackie kupy waliły na dziedziniec Michałowego domku po wodę. A stary z kąta w kąt łaził, łapami prawie ziemi dostając, aż Moskal niejeden krzyżem się żegnał.

Czort!.

Coś darło Orlika by rzucić się na to ścierwo i podusić chociażby kruszynę, połamać gnaty. Czuł wtedy moc okrutną, pięści twardniały, muskuły przemieniały się w stal.

Ale nie uległ.

A dni biegły jak w czarnoksięskiej latarni.

Dostał list.

Pisała Zośka, że nędza gnębi, bo mąż poszedł do wojska i gdzieś zaginął, dziewczyna chorowita — pomocy żadnej, chłopak andrus łobuzował się i pod jaszcz artyleryjski wpadł. Nogę mu zmiażdżyło. Teraz jest tylko ciężarem dla rodziny, bo nawet gazet nie może sprzedawać, więc gdyby tak ojciec chciał trochę dopomóc, a wziąć kalekę do siebie...

Staremu z radości serce aż hołupca trzasnęło.

Polazł na stacyjkę i tak długo prosił, aż mu kasjer śliczny list napisał do Zośki, a kiedy do skrzynki pocztowej go wrzucił, to rozlała się po sercu jakaś błogość wielka. Chciało mu się śmiać, chciało skakać z radości. Bo to przecież wnuk. Jego wnuk.

* * *

Kładł się pierwszy welon mroku na ziemię.

Otulał delikarną, brunatną przędzą i daleką, srebrno-granatową smugę lasu i wielkie, w martwocie śniegu puste pola. Budził gdzieniegdzie błękitnawe chmurki oparów, które jak dymy niewidzialnych ognisk biegły ku bezkresom ciemniejących przestworzy.

W tej przemożnej szarzyźnie tylko szyny lśniły magnackim prze-

urodzenia, tak że cały następny wzrost systemu nerwowego polega na zwiększeniu się masy, a nie ilości komórek. Inne natomiast tkanki, jak np. nabłonek skórny wykazują w swej warstwie twórczej podziały komórek nawet u najstarszych osobników. W każdym razie w tkankach szlachetnych podziały te na niższym lub wyższym stopniu rozwoju zatrzymują się i tkanki zaczynają podlegać procesom starzenia się, opisanym powyżej.

Niektórzy uczeni widzą przyczynę degeneracji komórek cielesnych w szkodliwem działaniu produktów przemiany materji, które nie mogą być usunięte z organizmu. Autorzy ci przypuszczają, że odkładający się w komórkach pigment, o którym wspominaliśmy w opisie procesu starzenia się komórek należy traktować jako nagromadzanie się produktów przemiany materji, które nie mogły być usunięte z komórki wskutek niedostatecznej działalności wydzielniczej.

Że produkty przemiany materji mogą rzeczywiście wywierać szkodliwy wpływ na niektóre zjawiska życiowe stwierdzono na podstawie całego szeregu doświadczeń. Tak np. Mosso wykazał, że jeżeli wykonać transfuzję krwi z psa zmęczonego do psa wypoczętego, wystąpią u niego wszelkie oznaki zmęczenia. Verworn dowiódł, że przy działaniu nerwów powstają produkty, które działają hamująco na komórki nerwowe. Legendre i Piéron wywoływali sen wypoczętego zwierzęcia wstrzykując mu wyciąg z mózgu psa, któremu przez dłuższy czas nie dawano spać.

Na podstawie powyższych danych możemy sobie całkiem ogólnie przyczyny śmierci zwierząt wielokomórkowych wyobrazić w sposób następujący. Komórki cielesne, powstałe z zapłodnionego jaja drogą licznych podziałów, poczynając różnicować się, tracą zdolności podziałowe, co wyraża się w zwolnieniu tempa wzrostu. Zróżnicowane i pozbawione zdolności podziałowych, komórki wytwarzają więcej produktów przemiany materji, aniżeli mogą usunąć. Pordukty te, pod postacią pigmentu nagromadzają się w coraz to większych ilościach. W miarę nagromadzania się wywierają one coraz bardziej szkodliwy wpływ na zjawiska zachodzące w komórce i wreszcie doprowadzają ją do degeneracji, a tem samem wkońcu do śmierci całego organizmu.

Oprócz powyżej podanej, a obecnie zyskującej coraz większe uznanie teorji istnieje jeszcze szereg innych, o których nie możemy tutaj wspominać. Jednakże niektóre z nich, chociaż właściwie nie mogą być traktowane jako teorje wyjaśniające całkowicie nasze zagadnienie, zwracają uwagę na pewne drugorzędne zjawiska, które w tym niesłychanie skomplikowanym splocie procesów jakim jest życie mogą wywierać pewną, mniej lub więcej poważną rolę destrukcyjną.

Przedewszystkiem wspomnimy o teorji Miecznikowa, który przyczynę śmierci widzi w działaniu trucizn wytwarzanych przez t. zw. „florę intestynalną" i wchłanianych przez jelito. Jak wiadomo w jelicie człowieka oraz większości zwierząt wyższych bytują ogromne ilości bakterji najrozmaitszych gatunków. Tak np. Strassburger obliczył, że w jelicie dorosłego człowieka znajduje się około 136 tryljonów bakterji! Że produkty przemiany materji tych bakterji, między któremi jest dużo gatunków gnilnych, są trujące dla zwierząt, jest faktem nie dającym się zaprzeczyć. Z drugiej strony występując w tak olbrzymich ilościach mogą rzeczywiście produkować trucizny w ilościach wystarczających do powolnego zatrucia organizmu i przez to przyczynić się do przyśpieszenia śmierci. Jednak nie można tego czynnika traktować jako jedyny, czy nawet główny.

W ostatnich czasach zwrócono uwagę na znaczenie t. zw. gruczołów wydzielania wewnętrznego dla zjawisk rozwojowych, a tem samem i dla ostatniego etapu rozwoju czyli dla śmierci. Rola gruczołów wydzielania wewnętrznego polega na wydzielaniu do krwi substancji zwanych hormonami, które posiadają ogromny wpływ na wszystkie nieomal zjawiska życiowe, dzięki czemu poświęcono im w fizljologji bardzo wiele uwagi. Wystarczy wspomnieć, że w ostatniem wydaniu dzieła podstawowego w tej dziedzinie podano około 150.000 prac!

Wobec wpływu jaki mają hormony na całokształt zjawisk życiowych nic dziwnego, że próbowano również zjawiska śmierci mniej lub więcej sprowadzić do ich działania. O wpływie niektórych hormonów na zjawiska wzrostu, a więc na występowanie okresu, w którym ustają podziały komórkowe, które, jak widzieliśmy, pozostają w związku z naszem zagadnieniem, świadczą następujące doświadczenia. Dotyczyły one metamorfozy żab, co do której przekonano się, że pozostaje w związku z działaniem dwóch gruczołów: tarczycy, oraz grasicy. Jeżeli młode kijanki zacząć karmić świeżą tar-

---

pychem srebrnych pasm.

Czasami, gdzieś od boru podrywał się wiatr i gnał przez zaśnieżone pola, stukał bezczelnie w okna, niewidzialnemi pięściami łomotał w drzwi.

Orlik szykował wieczerzę.

Trzech Króli było, chłopaka chciał godnie przyjąć. Na stole poustawiał moc różności, wszystko co mogło smarkacza uradować, co mogło mu smakować, a na co jednocześnie mógł sobie stary dróżnik pozwolić.

Ba, z zagajnika nawet świerk rozłożysty przyciągnął, papierkami niezdarnie przystroił, kilku łojówkami oświetlił.

Wieczór Trzech Króli.

Serce łomotało coraz głośniej, coraz natarczywiej. Wilgotniały biedne, zmęczone oczy.

Przywarł twarzą do szyby. Przed pięciu minutami przebiegł pociąg, który dowiózł chłopaka do stacyjki, mały powinien tu lada chwila być.

Granat nieba migotał światełkami gwiazd.

Idzie!!!

Stary wytężył wzrok, prawie przylepił się do szyby.

Rzeczywiście, na zaśnieżonym nasypie coraz widoczniej rysował się kontur idącego.

Szedł torem wspierając się na kulach i kuśtykając niezgrabnie. Zamiast prawej nogi — sterczał tylko... kikut.

Był już tak blisko, że w księżycowej jasności Michał mógł odróżnić rysy młodej, cierpieniami i nądzą zżartej twarzy.

Przechodzi właśnie przez węzeł splatający dwie linje szyn.

Nagle... Potknął się, przypadł prawie do ziemi, ale w tej chwili podniósł się i chciał iść dalej.

Widocznie jednak zdrowa noga utkwiła między gmatwaniną żelaza. Chłopak szarpał się, pomagał sobie kulą... Wszystko napróżno.

Stalowy węzeł trzymał jak cęgi. Ani rusz.

Stary szusem wybiegł z izby, a chłopak już zdaleka go zauważył i machał radośnie rękami.

— Dziadku pomóż...

Zwalił się ciężki huk i łoskot.

Stary zatrzymał się niczem koń wojskowy, szarpnięty dźwiękiem trąbki sygnałowej.

Spojrzał za siebie — z czerni rozzłociły się przeogromne dyski latarń lokomotywy. A wraz z grzmotem pędzącego pociągu do uszu przytulił się monotonny, żałośliwy, chóralny śpiew:

„Wołga, Wołga mat' radnaja..."

— Transport Nr. 973, trzeba zwrotnicę... inaczej... osobowy... przegalopowało błyskawicą przez starczy mózg. Jasno, wyraźnie, strasznie.

Skoczył ku pobliskiej zwrotnicy.

Zatrzymał się, skamieniał.

— A chłopak? — trzasnęło jak biczem. Pociąg był tuż, tuż. Grał potężnym akordem kół, śpiewał dychaniem pary i płakał smutkiem żołnierskiej pieśni. Po śniegowem, skrzącem szkliwie pola goniły się blade światła wagonów.

— Toć to Moskale — łotry, może dzieci tamtych, — rwało nienawiścią.

Tylko mgnienie sekundy.

Poderwał się Orlik. W ostatniej chwili szarpnął dźwignię zwrotnicy i ostatni raz w życiu, dziwnie jasno i wyraziście ujrzał, jak olbrzymi blok maszyny starł tam to małe, biedne ciało kaleki.

Włodzimierz Popławski

czycą lub jej preparatami, to przestają one rosnąć i przekształcają się w odpowiednio małe żabki. Jeżeli natomiast karmić je grasicą, rozwój przebiega zupełnie inaczej. Wyrastają one do stosunkowo olbrzymich rozmiarów i tracąc zdolność przekształcania się w żaby osiągają dojrzałość płciową, jako kijanki. Badania te interpretowano w ten sposób, iż grasicy przypisywano znaczenie czynnika odmładzającego, w tym sensie, że utrzymuje stan larwalny zwierzęcia. Natomiast tarczyca wywołuje starzenie się, względnie przejście od stanu larwalnego do stanu dojrzałego.

Podobnie jak przy omawianiu teorji Miecznikowa musimy uznać, że dzięki ogromnemu wpływowi, jaki wywierają hormony na przebieg zjawisk życiowych, muszą one i dla zjawisk starzenia się posiadać duże znaczenie, o czem świadczą również próby t. zw. odmłodzenia.

Widzieliśmy, że poza szeregiem drugorzędnych czynników, jako główna przyczyna starzenia się występuje szkodliwe działanie odkładających się w organizmie produktów przemiany materji. W sprawie zwalczania tego czynnika można sobie wyobrazić następujące możliwości. Po pierwsze możnaby w ten czy inny sposób dążyć do jeżeli nie całkowitego, to przynajmniej dokładniejszego usunięcia produktów przemiany materji. Co do realizacji tego problematu narazie trudno coś konkretnego powiedzieć. Być może, że puszczanie krwi, które przez pewien czas było prawie zupełnie zaniechane, zaś w ostatnich czasach uzyskało, jak się zdaje, ponowne prawo obywatelstwa w medycynie, mogłoby się przyczynić do intensywniejszego usuwania oddawanych do krwi produktów przemiany materji, aniżeli to zachodzi drogą normalną, czyli przez nerki i skórę. Podobną rolę mogłoby odgrywać jakgdyby przepłukiwanie organizmu przez dostarczanie mu większych ilości wody. Wszystkie te możliwości wymagają jednak jeszcze długotrwałych i uciążliwych badań, zanim można będzie ocenić ich praktyczne znaczenie.

Oprócz usuwania szkodliwych substancji możnaby jeszcze spróbować unieszkodliwiać je, działając pewnemi substancjami, któreby czyniły te produkty obojetnemi dla zjawisk życiowych, względnie zwiększając ich rozpuszczalność, ułatwiałyby usunięcie z organizmu. Pewne próby w tym kierunku widzimy w metodach leczenia artretyzmu, który polega na odkładaniu się trudno rozpuszczalnego w wodzie kwasu moczowego. Dla usunięcia go stosuje się substancje, tworzące z nim łatwo rozpuszczalne związki, jak np. sole litu, lub piperazynę.

Spoglądając na podane powyżej zarówno teoretyczne jak i praktyczne próby rozwiązania tego tak ważnego zagadnienia, musimy stwierdzić, że pozwalają one żywić nadzieję, iż uda się człowiekowi osiągnąć znaczne przedłużenie życia. Jednak osiągnięcie tego rezultatu będzie wymagało jeszcze wielu prób i dużego nakładu pracy.

Dr. Br. Z.

WYCHOWANIE FIZYCZNE

Z zajęcia się oklepanym tematem teoretycznych rozważań nad wychowaniem fizycznem rozgrzesza nas chęć zaraz na wstępie poprowadzenia dyskusji o wielu zagadnieniach, z tytułem związanych, na podstawach wzajemnego porozumienia, co ukrywamy pod pewnemi hasłami i pojęciami. Termin „wychowanie fizyczne" używany jest dzisiaj w takim bezliku znaczeń, taki stwarza chaos w dyskusjach, że możnaby słownik stworzyć jego wielorakich, węższych lub szerszych zasięgów. Załóżmy z góry, że przez wychowanie fizyczne rozumiemy: „ogół środków fizycznych, wpływających na wychowanie ogólne człowieka". Nieścisła więc jest argumentacja, że wychowanie fizyczne ma na względzie rozwój tylko ciała, jak moralne — charakteru, że wychowanie estetyczne lub umysłowe kształci li tylko odpowiednie dyspozycje.

Skłonność różniczkowania i klasyfikowania cechuje zawsze postępowanie człowieka — aczkolwiek przyzna każdy bez zastrzeżeń, że muzyka potrafi także łagodzić obyczaje, a wiedza w znacznym stopniu rzeźbi formę charakteru. To zazębianie się wzajemne „wychowań", że użyjemy tu takiego wyrażenia, szczególniej jaskrawo występuje we wpływie wychowania fizycznego. Bezwątpienia zręczność nie przedstawia własności fizycznej ciała, lecz jest cudowną zdolnością umysłu harmonijnego, zestrojonego idealnie władania aparaturą mięśniową; podobnie: odwaga, przytomność umysłu, szybkość, stanowczość — to przymioty, czy cechy charakteru, rodzące się w ruchu, w grze, czy sporcie, a przynależne etycznej, czy umysłowej sferze właściwości człowieczych. A więc tylko dlatego „fizyczne", że grupuje środki fizyczne, wychowujące w pełni człowieka. Z definicji wynika konieczność wyjaśnienia drugiego źródła nieporozumień i zaciemnień zasadniczego pojęcia. Ogólnie przywykło się pod zwrotem „wychowanie fizyczne" rozumieć „ćwiczenia cielesne". Jednakże środki fizyczne, wpływające na rozwój organizmu, to nietylko: 1) ruch, ale i 2) pokarm, 3) powietrze, 4) słońce, 5) woda i t. d.

Niesłusznie miesza się podstawowe pojęcia i np. w dziale „Higjeny", wprowadza się jako poddział: „wychowanie fizyczne", chociaż winno być raczej odwrotnie. Zrezygnujmy ze wspaniałego i obszernego terminu „wychowanie fizyczne" i ograniczmy się choćby w ramach tego artykułu do istotnego i trafnie charakteryzującego istotę sprawy ujęcia: „ćwiczenia cielesne".

— — — — — — — — — —

Ruch jest bezwątpienia jednym z najpotężniejszych środków wychowania. Symbolizuje życie, energię, moc—jak bezruch martwotę i śmierć. Stał się nietylko naturą człowieka, podstawą funkcji wielu organów, motorem wielu sił i zjawisk w żywym organiźmie — ale i uplastycznieniem myślowych wzlotów, zasadniczym instynktem, źródłem najdzielniejszych emocyj i przeżyć.

U ludów pierwotnych stosowany, jako konieczność, jako środek zdobycia pożywienia, komunikacyjny i t. p. — wykształca się również w formie czystej, nieużytkowej jako taniec, obrzęd religijny, gra i zabawa, wreszcie jako sport, wielkie ryzyko, namiętna ułudna walka, zmaganie szlachetne zdobywczych hardych natur.

Z rozwojem kultury, za każdy centymetr narosłej kory mózgowej płacimy krwawym haraczem zdrowia. Warunek postępu: zróżniczkowanie form życia wydziera człowieka brutalnie z objęć kształcącej natury i sadza przy biurku, stawia przy warsztacie, maszynie w długich godzinach bezruchu, lub sztucznych, manekinowych gestów. Subtelna, czuła, żywa komórka, podatna na tęgie bodźce ruchu, tak wspaniale modelująca w swym normalnym rozwoju harmonijne kształty Polinezyjczyka, czy Indjanina — marnieje, niszczeje zwolna, stwarzając karykaturalne, nieestetyczne, nieekonomiczne typy współczesne.

Buntował się człowiek współczesny długie lata. Bronił się nieskrępowaną swobodą i nieokiełznaną twórczością w grze i zabawie lat dziecięcych, przecinanych bezlitośnie martwym spokojem klasy szkolnej, wybuchał w jakichś tanecznych pasjach do upadłego...

Aż jeden i drugi, mądry, siwy pedagog wyszperał, wymądrzył z ksiąg, z mikroskopów — lekarstwo. Nudne i przykre, jak rycyna, ale konieczne — gimnastykę wychowawczą, ów generalny zabieg społeczny, prostujący w swym dobrodziejstwie ruchu tysiące zgarbionych postaci, wnikliwie uzupełniający zniekształconą przez warunki współczesnego bytowania sylwetkę człowieka.

Jednakże w naturze człowieka tkwi jakaś wrodzona przekorność do rzeczy uznanych, koniecznych i t. d. — ale ścisłych, maszynowych. Wyzwolonego z maszynerji człowieka pakowano w nowe tryby, dowcipnie konstruowanych aparatów ruchu.

Uciekał też tu i owdzie na znane od dawien dawna, dziecinne i niepozorne harce, gonitwy za piłką, wyścigi — uciekał w pojedynkę, gromadką, aż rzucił się całą masą, ku ruchom, które ożywił, uduchowił, poddał określonemu celowi, zwycięstwu nad innym, sobą, lub żywiołem.

Rozpoczęła się narastająca po dziś dzień epoka sportu— wielkiej ucieczki udręczonych do najpierwotniejszej, ożywiającej walki, do zmagań, których treść dziecinna, urasta w takiej pospólnie umówionej zabawie do roli ważkich wielkich zdarzeń...

Rozfalował się sport i płynie wielką rzeką, przez kraje, przekształcając się w coraz to nowe formy i rośnie.

— — — — — — — — — —

Uprawia człowiek współczesny ,,ćwiczenia cielesne". Do omówienia ich formy, celowości istnienia, % w ogólnej pracy, czy rozrywce — powrócimy niejednokrotnie. Wyłówmy jednakże ze środkowej wstawki ,,historycznej" pewne kwestje do ustalenia terminologicznego, by nie gubić się w późniejszych roztrząsaniach. Na takiej czy innej drodze człowiek doszedł do wytworzenia kilku form ruchu, które ogólnie umówiliśmy się w ich sensie użytkowym obejmować nazwą ,,ćwiczenia cielesne", podporządkowywujące sobie: 1) gry, 2) zabawy, 3) tańce, 4) gimnastykę i 5) sport.

Znowu jednem z częstych nieporozumień jest przeciwstawianie sportu, t. zw. wychowaniu fizycznemu, które w tym wypadku rozumiane bywa, jako przeciętny stopień uprawiania ćwiczeń cielesnych. Również niesłuszne założenia. Sens sportu wiąże się ściśle z jego wychowawczemi wartościami, świadomemi, czy instynktownemi. Pozbawiony tych wartości, jako cel sam w sobie, jako tendencja wyłącznego podporządkowywania człowieka ideałom maszyny, czy zwierzęcia — dyskwalifikuje się zupełnie.

Podkreślmy raz jeszcze szkielet założeń. Wychowanie fizyczne — ruch, jako ćwiczenia cielesne, lub praca fizyczna — różne formy ćwiczeń, a między innemi i sport.! Oto łańcuchowa zależność pojęć, które niejednokrotnie przesuną się w dalszych omówieniach.

A. W.

Z PRZYRODY I TECHNIKI

ULTRA KRÓTKIE FALE

Badanie ultra krótkich fal jest obecnie problemem nad wyraz aktualnym. Wiele jeszcze właściwości z dziedziny fal ultra-krótkich jest dla nas zupełnie nieznanych. W ostatnich czasach zagranicą pojawiły się szczupłe wzmianki o odkryciu tajemniczych promieni, o możności za pomocą tych promieni ,,gaszenia" świecy w silnikach spalinowych, a więc zatrzymywania na odległość samochodów, ściągania samolotów na ziemię, wysadzania materjałów wybuchowych, zabijania promieniami wszystkiego co żyje, więc i człowieka — jednem słowem zastosowanie ,,tajemniczych" promieni odkrywałoby wielkie pole do popisu w przyszłej wojnie.

Przez długi czas nie przypisywano wiadomościom tym dużej wagi, lub zgoła nie wierzono i zaliczano do fantazji. Ostatnio jednak po przyśpieszonych próbach z falami ultra-krótkiemi, zauważono, że wszystkie te przypuszczenia posiadają w zupełności realne uzasadnienie. Źródłem wszelkich zagadnień okazały się ultra-krótkie fale.

W Niemczech, Anglji i innych państwach prowadzone są obecnie prace w dziedzinie fal ultra-krótkich w bardzo dużem tempie. Rezultatów prac jednak nie publikuje się. Oddzielne, bardzo nikłe, wiadomości o otrzymanych rezultatach z pracy nad ultr.-kr. falami pojawiają się w amerykańskiej i niemieckiej literaturze, jednak szczegóły, dotyczące tych prac, pozostają nieznane.

Próby opisane poniżej były owocem badań z przed kilku miesięcy amerykańskich inżynierów William Tustice Lee. Inżynier Tustice Lee i dyrektor laboratorjum Saranc Lake, Nr. 4, dr. L. U. Gardner przeprowadzili ciekawe próby oddziaływania fal ultra-krótkich na organizmy żyjące.

Z początku Amerykanie do swych prób posługiwali się zwykłym generatorem układu Hartley'a t. zw. ,,trzypunkt"

Aby można było łatwo oddziaływać falami ultr.-kr. na organizmy żyjące, — ustawiono obok drugi, zamknięty obwód, sprzężony indukcyjnie z pierwszym, który wytwarzał te fale. Kondensator obwodu drugiego, pomocniczego, składa się z dwóch miedzianych płytek, między któremi umieszcza się badane żywe organizmy i przedmioty. Aby uniknąć bezpośredniego zetknięcia z płytkami kondensatora, obie okładki oddzielono szklanemi płytkami.

Prądy, jakie otrzymywano w zamkniętym obwodzie, sprzężonym z oscylatorem, dla różnych fal, miały wartości różne, — począwszy od 1,5 amp. do 10 amperów. Im częstotliwość była mniejsza (dłuższa fala), osiągano oczywiście większe wartości prądu.

Można było również otrzymać i krótsze fale od 1,7 metra (np.: 1,2 — 1,4 m.), ale otrzymywana przy tem moc była tak znikoma, że zastosowanie tych fal do prób okazało się niekorzystne.

Po uruchomieniu generatora ultra kr. fal, przystąpiono do obserwacji oddziaływania tych fal na organizmy żyjące. Z początku do prób wzięto mysz. Generator nastrojony był na falę 4,4 metra i we wtórnym obwodzie otrzymano około 1,3 ampera. **Po trzech minutach mysz przestała żyć.** Eksperyment ten był powtarzany kilkakrotnie, zawsze z jednakowym wynikiem.

Następnie złapano muchę, którą umieszczono w szklanej rurce, pomiędzy płytkami kondensatora. Od strumienia 0,5 ampera mucha kręciła się jak wściekła; przy prądze 0,8 ampera — upadła i już nie podniosła się.

Po niektórych próbach z myszami i owadami, należało zaobserwować wpływ ultra-kr. fal na jeszcze mniejsze organizmy żyjące, a w szczególności na bakterje.

W tym celu włożono w szklanne rurki: zwykłą wodę, ropy, roztwór soli, serwatkę i t. p. Zauważono dziwne zjawiska. Na rozmaite roztwory, ultra-kr. fale oddziaływały bardzo różnie. Jedne roztwory nagrzewały się do wrzątku przy fali oscylatora 3 m., inne znów od 5 m. i t. d.

W każdym razie stwierdzono silny wpływ ultra-kr. fal na bakterje, jednak nie można dotychczas określić jakie bakterje i od jakich fal giną. Należy więc przeprowadzić znacznie więcej i bardziej systematycznych prób. Być może, że fale ultra-krótkie, oddziaływując zabójczo na jedne bakterje, drugim pomogają do szybszego rozwoju.

Praca z falami ultra-kr. wymaga ostrożności, ponieważ wiele jeszcze właściwości tej dziedziny jest dla nas nieznanych i nie wiadomy jest ich wpływ na organizm ludzki.

W przeprowadzanych próbach z falami ultra-krótkiemi, okazało się, że nie wszystkie typy lamp nadają się do pracy w tym zakresie. Przy pracy z lampą jednego typu i przy napięciu na anodę około 3.000 woltów, na fali 6 metrów — płytka lampy i odprowadzenie siatki, mieszące się w szkle, tak silnie się rozgrzewały (słychać było nawet potrzaskiwanie szkła), że dłuższej pracy nie można było prowadzić, bez uszkodzenia lampy. Inna znów lampa nadaje się świetnie do wytwarzania fali rzędu 12 — 20 centymetrów i t. d.

Warto zaznaczyć, jak bardzo silne pole wytwarza generator ultra-krótkich fal, i jak ono silnie oddziaływa na okoliczne przedmioty (prawdopodobnie i na organizm ludzki). Pewien amator pracując na wiązce około 6 m. — przypadkowo zauważył pod stołem iskrę. Okazało się, że przyczyną iskrzenia był dławik wysokiej częstotliwości, włączony do drugiego nadajnika, nie pracującego i nie mającego nic wspólnego z generatorem ultra-krótkich fal, który znajdował się w odległości 1,5 metra. Wtedy nawinął on drugi dławik, z dużą ilością zwojów, i w odstępie 0,5 metra od nadajnika, otrzymał silny strumień iskier, długości 4 — 5 cm., w rodzaju transformatora ,,Tesli".

Bezpośredniego oddziaływania elektro-magnetycznego pola ultra-krótkich fal na organizm ludzki, podczas przeprowadzanych prób nie zauważono. Być może, że oddziaływanie to jest, lecz nie odrazu się objawia.

J. A. Zieliński

Ze świata książek

Ferdynand Goetel: Serce lodów.

Powieść ta — odznaczona nagrodą państwową za rok 1929 — postawiła Ferdynanda Goetla w pierwszym szeregu współczesnych prozaików Nie od rzeczy przytem będzie zaznaczyć, że w czasach, kiedy większa część literatury ulega nowym prądom i pragnie tworzyć podwaliny nowej sztuki, jednocześnie na czoło piśmiennictwa wysuwają się ludzie hołdujący dawnym tradycjom literackim.

Takim właśnie twórcą, którego śmiało można uważać za kontynuatora pięknej prozy Sienkiewicza, jest Ferdynad Goetel. Począwszy od „Pątnika Karapety" poprzez „Z dnia na dzień" i odznaczonego pierwszą nagrodą na krakowskim konkursie „Samuela Zborowskiego" — postępował autor zdecydowanie drogą piękna, a nie efektu i wątpliwej wartości eksperymentów, jak to, niestety, czyni wielu dzisiejszych pisarzy. To też już dotychczasowy plon jego pracy wiele przyniósł naszej literaturze. Z jaką ogromną przyjemnością czyta się każdy z jego utworów! Ile miłych wrażeń daje prosto i jasno wyrażone w akcji szczere uczucie, doprowadzone niemal do poetyckiego liryzmu, a cóż dopiero mówić o wartościach językowych powieści Goetla!

Charakterystyczną cechą stylu „Serca lodów" jest zwięzłość — śmiało można stwierdzić, że autor stara się nie używać w swej powieści żadnych ozdób stylistycznych, żadnych górnych i poetycznych przenośni. Każde słowo ma tu swoje znaczenie, każde jest nieodzownie potrzebne.

Jeżeli po takim wstępie przejdziemy teraz do samej powieści (niestety z braku miejsca nie mogę podać streszczenia), to i tu spotkamy się z największemi wartościami, jakie posiadać powinna beletrystyka. Realne i wiernie odtworzone charaktery bohaterów, ich subtelne przeżycia psychiczne, niespodziewane zawikłania akcji i nieznana egzotyka krajów północy — wszystko to czyni z „Serca lodów" niezmiernie zajmującą lekturę.

Śmiało więc możemy powiedzieć, że jakkolwiek wszystkie utwory Ferdynanda Goetla wysuwają się na czoło naszej współczesnej literatury, to ostatnia jego powieść jest wielkim krokiem naprzód i myślę, że każdy, kto interesuje się polską literaturą, będzie sobie uważał za miły obowiązek przeczytanie tej książki.

Joseph Conrad (Korzeniowski). Korsarz.

Jeśli Jack London jest dla nas uosobieniem egzotycznej fantazji — to Conrad jest uosobieniem egzotycznego realizmu. Na dalekich błękitnych i złotych od tropikalnego słońca morzach Conrada nie dzieją się nigdy rzeczy niezwykłe. Mieszkają tam ludzie zupełnie przeciętni i doprawdy zdawaćby się mogło, że fantazja została wyrugowana z jego powieści.

Zdarzenia codziennego życia — oto treść „Korsarza". Spotkanie dwóch silnych charakterów — to droga do bohaterskiego czynu, a pragnienie zwyciężenia nieznanego nawet z widzenia wroga, kapitana korwety „Amelja" — to pobudka skłaniająca do spełnienia ogromnej doniosłości patrjotycznego czynu.

Istnieje pogląd, że dzieła każdego pisarza stają się łatwiejsze do zrozumienia w połączeniu z życiorysem. Najdokładniej się to sprawdza na Conradzie.

Stary, emerytowany oficer marynarki angielskiej, który większą część życia spędził na dalekich morzach, pisząc musi mieć zawsze oczy zwrócone ku przeszłości. I stąd ta dokładna wizja — przypomnienie. Dlatego tak wyraźnie i realistycznie ukazuje się nam postać starego korsarza Peyrola; „który przybył z morza, przeszedł przez życie współmieszkańców fermy Escampobar i zniknął znów na morzu", a o którym wiemy tyle tylko: „że nie był złym Francuzem".

Zdawaćby się mogło, że Conrad zbyt mało powiedział o swym bohaterze, a jednak znamy go tak dokładnie z drobiazgowego opowiadania o jego późniejszem życiu, że nieznana przeszłość, ku której korsarz wciąż zwraca myśl, zupełnie nie przeszkadza do stworzenia dokładnego wizerunku Peyrola.

Kogo nie zachwyci, ta jedyna w całej powieści postać prawdziwego mężczyzny, któremu autor przeciwstawia typy słabe ludzi-ślimaków, pełzających wśród trosk codziennego życia, lub niezdecydowaną postać porucznika Reala.

Spojrzenie wstecz w przeszłość dawało Conradowi tematy do powieści, a znajomość przedmiotów opisywanych i marynarska systematyczność pozwalały mu osiągnąć tak idealnie wykończoną całość, że czytając jego utwory ulegamy sugestji i widzimy niemal to wszystko, co przymykając oczy widział stary kapitan Joseph Conrad, kiedy po powrocie ze swych dalekich wypraw wspominał barwną przeszłość marynarską.

I jeszcze jedno uderza nas w twórczości tego autora. Oto właściwie Conrad nie pisze opowieści o morzu, lecz opowieści morskie. Cóż to znaczy? Znaczy to, że Conrad nie wysila się, aby opisywać morze i jego dzieje. On tylko ukazuje dzieje ludzi morza, w których życiu odegrało ono dominującą rolę. Dlatego też Conrad-marynarz nie gloryfikuje morza, ani mu nie złorzeczy, lecz opowiada o niem, jako o czemś dobrze znanem i powszedniem — i to stanowi główną wyższość Conrada, nad innemi powieściopisarzami mórz egzotycznych.

Powoli z mgły przypomnienia wysnuwają się postacie mieszkańców dalekich lądów i dlatego też często autor w swych powieściach prowadzi akcję wstecz, ku przeszłości. Podążamy za nim czytając i nieznacznie spostrzegamy, że cofnęliśmy się, aż gdzieś w głąb siebie — i, że właściwie mimo pozory ogromnych przestrzeni, akcja w powieści Conrada toczyła się w głębi psychiki autora, tak jak obecnie rozgrywa się w duszy czytelnika. **Mik.**

◆◆◆◆

Ostatnie wydarzenia sportowe

Uroczystość dziesięciolecia sportu polskiego obchodzono uroczyście dn. 9 lutego nabożeństwem i akademją, na której rozdano dyplomy zasłużonym jednostkom oraz instytucjom i związkom. Polskie Radjo zorganizowało z tej okazji specjalną audycję i „Konkurs sportowy" rozgrywany w tygodniu 9 — 16 lutego.

HOKEJ NA LODZIE.

1) Przykrości przegranej Polski z Niemcami złagodziły spotkania naszego zwycięzcy z czołowemi drużynami Europy i świata. We wspaniałym pochodzie triumfalnym Niemcy zdobyli faktyczne, w meczu ze Szwajcarją (2 : 1), i moralne, w spotkaniu z najlepszym klubem Szwecji — Götha 6 : 3 i 5 : 2, mistrzostwo Europy, a Kanadzie przeciwstawili zacięty i groźny opór (1 : 6). Polska na sztucznym torze Wiednia oddała 3 miejsce w mistrzostwie Europy Austrji (0:2), której następnie udało się uzyskać sensacyjny wynik 1:0 z Kanadą. Po tej jedynej przegranej Kanada odrobiła dalszą pańszczyznę bijąc Austrję 6:0, Polskę 5:0, Czechosłowację 14:1, Niemcy 6:1 i zamknęła bilans spotkań stosunkiem 29:1 zwycięstw, a 236:16 bramek.

2) Mistrzostwa Polski w hokeju odbędą się w Krynicy w dniach 18 — 23 lutego.

NARCIARSTWO.

1) Mistrzostwa narciarskie Niemiec, obesłane silnie przez Polskę odbyły się w ciężkich warunkach terenowych i przyniosły przegrupowania sił mistrzowskich zarówno w obozie niemieckim, jak i polskim. Na mistrzostwach tych bowiem załamała się wspaniała karjera mistrzowska Bronka Czecha, który po dziś dzień nie może wygrzebać się z serji niepowodzeń i klęsk.

W Niemczech Polacy zajęli w biegu 50 km. — 3 miejsce przez Motykę. W biegu 18 km. ten sam zawodnik zajął 2, a Szostak Karol 4 miejsce. W skokach Czech 10, Szostak 18. W biegu złożonym (18 km. i skoki) — Czech 8, Szostak 20.

W biegu sztafetowym Polska zajęła 3 miejsce za dwoma zespołami Bawarji.

2) Mistrzostwa narciarskie Polski, rozegrane prawie wyłącznie w konkurencji krajowej — przyniosły szereg sensacyjnych wyników. Czech stracił wszystkie tytuły mistrzowskie.

Wyniki szczegółowe.

Bieg 50 km. — Motyka przed Kawą; bieg 18 km. — Motyka przed Berychem i Szostakiem Karolem. Czech 7. Bieg zjazdowy — Suleja przed Czechem; bieg pań — Bronka Staszel-Polankówna przed Stopkówną; bieg złożony. Mistrzem został Karol Szostak. 2-gi Czech, 3 Szostak Ant.

Skoki. 1) Cukier (skoki 54 i 53,5 m.), 2) Rozmus. Czech na 14 miejscu z najdłuższym skokiem — 59 m. Drugi skok podobnej długości zakończył się upadkiem.

3) Polski patrol wojskowy wyjechał na międzynarodowe zawody (startuje 14 państw) do Oslo.

LEKKA ATLETYKA.

1) Petkiewicz wojuje w Ameryce ze zmiennem szczęściem. Wygrał bieg na 1 milę, przegrał natomiast na swym właściwym dystansie (2 mile — ponad 3.000 m.) w konkurencji mało znanych zawodników. Ostatnie jego zwycięstwo w biegu na 5 km. w doskonałym jak na kryty tor czasie 15 m. 15,2 sek. — świadczy, że powoli odzyskuje on swą zeszłoroczną formę.

2) W kraju sen zimowy przerywają zawody — rozgrywane w salach i halach. Wyniki tych imprez są niemiarodajne ze względu na specyficzne warunki.

BOKS.

1) Reprezentacja bokserska Poznania osiągnęła nowy, zaszczytny wynik z silnym zespołem Monachjum. Na nierozstrzygniętą sumę punktów 7 : 7, zarobili ze strony polskiej zwycięstwami Forlański, Arski i Wiśniewski, remis uzyskał Majchrzycki.

2) Pierwszy krok bokserski rozegrany w W-wie zgromadził na starcie 138 zawodników. Zespołowo zwyciężyła Polonia.

GRY SPORTOWE.

Poza szeregiem spotkań krajowych poraz pierwszy zmierzyły się drużyny polskie z czeskiemi w siatkówce i koszykówce.

YMCA — Kraków zwyciężyła YMCA — Praha w pierwszej grze, uległa gościom w koszykówce.

OD REDAKCJI.

Ponieważ w dziale odpowiedzi redakcji nie uwzględniamy zupełnie sportu, więc postanowiliśmy otworzyć „Kącik porad i odpowiedzi sportowych".

Prosimy Szanownych Czytelników, aby byli łaskawi zwracać się do nas w razie jakichkolwiek trudności związanych z zakładaniem kółek, drużyn, lub klubów sportowych.

Wszelką korespondencję w tej sprawie proszę adresować do redakcji z dopiskiem: dla kierownika działu sportowego.

◆◆◆◆

Zamiast Naszej Rozmowy

W szeregu listów wyrażają nasi czytelnicy słowa uznania dla „Sternika". Żałujecie jednocześnie, że „Sternik" mało jest jeszcze dotąd znany większości młodzieży. Obiecujecie nam pomoc w pozyskaniu prenumeratorów. Dziękując za życzliwość, ogłaszamy:

KONKURS

na Najlepszego Przyjaciela „Sternika"

KTO W CIĄGU MARCA POZYSKA NAJWIĘKSZĄ LICZBĘ PRENUMERATORÓW (NIEMNIEJ NIŻ 6-ciu), OTRZYMA W NAGRODĘ CENNĄ KSIĄŻKĘ. TYTUŁY KSIĄŻEK, Z KTÓRYCH BĘDZIE MÓGŁ WYBRAĆ SOBIE NAGRODĘ — PODAMY W NASTĘPNYM NUMERZE.

KAŻDY, KTO W CIĄGU MARCA POZYSKA 5-ciu PRENUMERATORÓW, OTRZYMUJE BEZPŁATNĄ PRENUMERATĘ „STERNIKA".

NIE POTRZEBA ŻADNYCH KUPONÓW. WYSTARCZY, JEŻELI KAŻDY NOWOPRZYBYWAJĄCY PRENUMERATOR PODA NAZWISKO, IMIĘ I ADRES OSOBY, KTÓRA GO SKIEROWAŁA.

HUMOR

— Jak myślisz, czy nasz znajomy pan X, to człowiek pewny?

— Najzupełniej, bez obawy powierzyłbym mu swoje życie.

— Twoje życie... a czy powierzyłbyś mu również i coś cenniejszego?

* * *

— Tatusiu — pyta mały Henio — czy potrafiłbyś podpisać swoje nazwisko z zamkniętemi oczami?

— Ależ z łatwością, synku!

— No to zamknij oczy i podpisz moją cenzurę!

* * *

Dwóch panów odbywa podróż aeroplanem, prowadząc ze sobą ożywioną rozmowę. W pewnej chwili rozmowa ta zamienia się w kłótnię.

— Panie — zwraca się wtedy jeden z nich do pilota — proszę się natychmiast zatrzymać, ja wysiadam!

* * *

— Jak więc już mówiłem ciało przezroczyste — wykłada nauczyciel fizyki — jest to takie ciało, przez które możemy dokładnie widzieć. Proszę mi dać przykład — zwraca się do jednego z uczniów.

— Ciałem przezroczystem — odpowiada niepewnie zapytany — będzie naprzykład dziurka od klucza.

* * *

W podrzędnej restauracji gość zwraca się do kelnera:

— Ależ, panie, ten obiad jest obrzydliwy! Czuję, że jeżeli będę się u was dłużej stołować, to chyba rozchoruję się!

— Bardzo być może, gdyby się pan jednak stołował u naszego konkurenta naprzeciwko, to niewątpliwie jużby pan dotychczas umarł.

* * *

Mały Jureczek jest z mamą w ogrodzie zoologicznym i z wielkiem zainteresowaniem ogląda zwierzęta. W pewnym momencie spostrzega zebrę.

— Mamo, mamo — woła z zachwytem — spojrzyj tylko, ten konik ubrał się w kostjum kąpielowy!

* * *

— Jakże podobał się panu koncert mojego siedmioletniego synka?

— Bardzo! Bardzo! Zwłaszcza gest z jakim młodociany wirtuoz chował skrzypce do pudełka

* * *

W szkole kucharek nauczycielka zapytuje uczennicę:

— W jaki sposób najlepiej zabezpieczyć można cielęcinę, aby się nie zepsuła w czasie upałów letnich?

— Zdaje mi się — odpowiada zapytana — najlepiej będzie pozostawić cielę przy życiu.

* * *

— Proszę tatusia, co to znaczy autosugestja?

— Widzisz, drogie dziecko, autosugenstja to jest wyobrazić sobie, że się ma własne auto i uwierzyć w to.

* * *

— Wiesz, byłem dziś u wróżki! Doskonale określiła mój charakter i powiedziała, że posiadam cztery niezwykłe przymioty, z których mogę być dumny, gdyż zwłaszcza jeden z nich rozwinięty jest do granic fenomenu.

— Cóż to takiego, jeśli wolno wiedzieć?

— Pamięć!

— No, a te trzy pozostałe?

— Te pozostałe?.. A niechże to! Jak na złość zapomniałem!

◇◇◇

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

NA DROGĘ

Samotny zostałem na brzegu morza —
Fala mi łódkę porywa,
Goni ją, rzuca w te wodne przestworza,
Na strzępy żagiel rozrywa.

Z fali na falę wiatr goni i goni,
Ledwie ją widzę, daleko...
Wicher nią rzucił, falą osłonił
Szybko, jak mgnienie powieką.

Spoglądam, lecz pustka... Morze wzburzone
Rzuca się, ryczy i wyje. —
Gdzie łódka moja? Już wszystko stracone,
Tylko ja jeden tu żyję.

Cóż pozostało? Potargane żagle,
Morze i piasek na brzegu,
Wicher, co z morza wyrywa się nagle
I ja, ostatni w szeregu.

I chociaż w oczy wiatr piaskiem mi sieje,
A morze huczy i grozi —
Ja idę naprzód i w duchu się śmieję:
Czyż mię ta łódka przewozi?...

Na stałym lądzie bezpieczny być mogę —
Łódź mała, morze zdradliwe —
I ku przyszłości, na promienną drogę
Idę, gdzie jutro szczęśliwe...

Morze ucichnie, wicher wyć przestanie
I łódka w puch się rozleci;
A w nowem życiu, na powitanie
Jutrzenka złota zaświeci...

Władysław Miś Smoleński.

Echa dzieciństwa

(Nowela)

Poznałem Bronka przed dziesięciu laty. Mieszkaliśmy wtedy w kolejowym wielkim domu, tuż obok lasu. Właściwie, las sosnowy był po jednej stronie, zagajnik brzozowy nawprost naszego domu, za zagajnikiem poręba, usiana młodemi jodłami. Między lasem, a zagajnikiem i zagajnikiem, a porębą, ciągnęły się leśne gościńce, zwane „duchtami".

Szczególnie piękna była droga między lasem sosnowym, a zagajnikiem. Cudna to była aleja, cała pokryta jasno zieloną trawą, w której złociły się kwiaty mleczu, po bokach zaś, między krzakami, wychylały główki fioletowe i białe pierwiosnki. Z jednej strony las sosnowy, podszyty krzakami kaliny, z drugiej brzózki ze zwieszonemi jasnozielonemi gałązkami, między któremi w równych odstępach, odcinały się śliczne wonne choinki. Między drzewami skrzydlata kapela ,a nad tem wszystkiem, śliczne, wiosenne niebo...

Był maj.

W kilka dni po naszym przyjeździe, zauważyłem szczupłego chłopca, który stając na nasypie (oddzielającym las od naszego domu), przyglądał się naszym zabawom, z wielką ciekawością. Mógł mieć około dwunastu lat. Jasne, dawno niestrzyżone włosy, opadały mu na kołnierz wielkiej kurtki, z pozawijanemi rękawami. Z pod naderwanego daszka, spoglądały bystre, nieco wystraszone oczy. Zapewne dla dodania sobie animuszu, wycierał od czasu do czasu nos, rękawem kurtki. Zaciekawił mię bardzo ów chłopiec, więc stanąłem i począłem bacznie mu się przyglądać.

Chłopak pierwszy mię zaczepił. „Te — jak się nazywasz?" „Tadek, a ty jak?". — „Bronek". — „Tadek chcesz fujarkę?". — „Daj".

W taki sposób zawarłem znajomość z Bronkiem. Nieraz mieliśmy z mym starszym bratem, dużo nieprzyjemności od rodziców, z powodu tego Bronka, gdyż nie cieszył się on dobrą opinją. Nazywano go poprostu łobuzem.

Bronek ów, syn gajowego, zajmował się, gdy go poznałem, pasieniem bydła. Dawniej mieszkał w Łodzi, lecz gdy mu matka zachorowała na suchoty, przeniósł się ojciec na leśniczówkę, dla poratowania jej zdrowia. Lecz matka w kilka miesięcy umarła, zostawiając pięcioro dzieci z najmłodszym Bronkiem. Ojciec w pół roku ożenił się z młodą dziewczyną, i odtąd poczęła się okrutna, sieroca dola Bronka. Biła go macocha, bił ojciec. Domem dla Bronka był las, towarzystwem ptaki, wiewiórki, zające, no i naturalnie krowy.

Zaprzyjaźniłem się z nim bardzo, od tej fujarki i kiedy tylko mogłem, lub gdy posłyszałem fujarkę, biegłem do Bronka. O! bo nikt nie umiał robić takich fujarek jak on. Nieraz z zapartym oddechem, śledziłem każdy ruch jego, jak robił wierzch, serce, jak próbował głos... Niekiedy wyręczał się mną mówiąc: „Te Tadek, popilnuj mi krów, żeby nie wlazły w nasionka, a ja pójdę kupić se papierosa". Bo Bronek palił. Patrzyłem z wielkim szacunkiem na to palenie, lecz nigdy nie odważyłem się zapalić, choć Bronek zawsze częstował. Pilnowałem mu tedy krowy, lecz czasem nadchodził gajowy, ojciec Bronka, a widząc, że nikt krów nie pilnuje, ja bowiem zmiatałem, wołał: „Bronek, zarazo jedna, gdzie jesteś!?". Jeżeli Bronek zdążył na czas nadlecieć, obeszło się tylko na groźbach, lub szarpaniu za uszy, w przeciwnym razie, ojciec miarowym ruchem, spuszczał kij na plecy Bronka i bił, aż echo rozlegało się po lesie, pomimo krzyku i próśb. Zatykałem wtedy uszy, nie mogąc znieść krzyku, i zjawiałem się dopiero na jego wołanie: „Te Tadek". Nieraz pokazywał mi Bronek swe posiniaczone plecy, pokaleczone ręce, lecz nie słyszałem nigdy, aby złorzeczył kiedy ojcu, lub macosze. Pocieszał się tem, że gdy podrośnie, pójdzie gdzie w służbę, albo że siostra, po zamążpójściu weźmie go do siebie, że wreszcie brat upomni się o niego, gdy wróci z wojska. Tymczasem cierpiał... A jak on kochał ten zagajnik brzozowy, ten las, tę porębę... Wiedział o każdem gniazdku, i nieraz w dowód przyjaźni i w największym sekrecie pokazywał mi pisklęta i potem starannie je zakrywał. Znał miejsca grzybowe i gdzie są najlepsze jagody. Znał las i kochał go, a nieraz ze strachu przed karą, na mchu pod drzewem nocował. Jeżeli dostał kawał chleba, zawsze podzielił się ze mną, nieraz mawiał: „Tadek przyjdź jutro, u nas podbierają miód, urządzimy ucztę".

Do największych przyjemności należała gra w „kiejfla". Bronek w tej grze był wprost mistrzem, lecz nigdy nie oszukiwał. Jeżeli posyłał jakiego chłopaka po chleb, czy papierosy, to nigdy darmo. Stwierdziłem to na sobie. Jeżeli nawróciłem mu Łysą, to nazbierał mi poziomek, lub podarował kilka grzybów, podzielił się „koksem", lub pokazał jakie gniazdko. Był również bardzo ambitny. Gdy, na skutek lania, czy nauki moralnej od rodziców, nie bawiłem się z Bronkiem, sprawiałem mu tem największą przykrość. Jak mógł wtedy dokuczał mi, to nie dał przejść, to opryskał wodą i dotąd nie dawał mi spokoju, aż znowu zacząłem się z nim bawić. Odwdzięczał mi się wtedy, jak tylko umiał.

Znajomość nasza trwała kilka lat. Bronek w mej wyobraźni, tak zrósł się z zagajnikiem, że nie wyobrażałem sobie zagajnika bez Bronka, a Bronka bez zagajnika.

Minęło lato, nastała słotna jesień. Zacząłem chodzić do szkoły i wycieczki moje do Bronka, musiały się przerwać. A Bronek... Widziałem go zawsze z rana stojącego na nasypie boso, okrytego workiem od deszczu, patrzącego z pod naddartego daszka w nasze okna. Wtedy bębniłem w szybę, a gdy podszedł do okna mówiłem: Bronek! a ty nie idziesz do szkoły? — Nie, muszę paść krowy, ale jak brat przyjdzie z wojska to pójdę!...

W kilka tygodni potem wyjechaliśmy do miasta T. . . .

I znowu przyszła wiosna. Przypomniał mi się wonny, rozśpiewany zagajnik, poręba z motylami i... Bronek.

Po długiem molestowaniu, pojechałem ze starszym bratem do S. . . . Z radością biegłem znanemi dróżkami, śpiewając z uciechy i myśląc jaką niespodziankę sprawię Bronkowi. Już widzę krowy i sylwetkę pastucha. Biegnę... Bronek!... Odwraca się... Ach to nie Bronek, inna twarz. — „Gdzie Bronek?" pytam. „Bronek? A umarł przed Bożem Narodzeniem".— „Dlaczego umarł". — „A bo go ojciec sprał kijem, że poszedł się ogrzać, a krowy ostawił, i musi cosik mu odbił, bo Bronek ledwie przywlókł się do domu, pochorzał ze sześć niedziel, wziął i umarł...

Zapłakałem. Biedny Bronku! Niech ci ziemia lżejszą będzie, od twej czarnej, sierocej, pastuszej doli. Taro

Koty, co chodzą własnemi drogami

Puszcza Augustowska, tak cicha i tajemnicza zawyczaj, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ożyła nagle. Bo oto jakieś dziwne, nigdy niesłyszane hałasy zaniepokoiły stałych mieszkańców boru.

Pod gołe wzgórze, łagodnie ku jezioru wznoszące się, dnia tego zajechały trzy chłopskie fury naładowane skrzyniami i workami.

Za chwilę, z lasu wyłoniły się pierwsze szeregi nieproszonych gości, którzy taki niepokój w puszczy wzniecili. Szli, zwartą kolumną, w krótkie zielone spodnie odziani z czapkami na bakier. Widzi mi się — Warszawiacy. Już weszli na pagórek, rozglądając się ciekawie.

Prowadzący wydał krótką komendę, oddział zatrzymał się jak wryty; padła druga komenda: — „Rozejść się!"

Natychmiast rzucono się do wozów. Wnet z pak dobyto toporki i łopatki, a z worów namioty, i zabrano się co prędzej do rozbijania obozu.

Już zbliżał się wieczór, to też praca wre. Każdy stara się postawić namiot swego zastępu jeszcze przed zmierzchem.

Po dwóch godzinach już na wzgórzu wznoszą się cztery płócienne dachy, a obcy przybysze zajęci są częściowo przybijaniem prycz, częściowo napychanie sienników liśćmi.

Ale czas nie czeka, bo oto już powoli ściemnia się. Ognisko już nawet przygotowane, zasiadamy więc wokół niego.

Pierwsze ognisko!!....

Piosenka goni piosenkę, a nam „Braci Harcerskiej" coraz weselej. Wesołość potęguje się, gdy „Gruby" strasznie fałszując zaintonował „W starym piecu..." Potem przyszła kolej na Janosika, „W murowanej piwnicy" i wiele, wiele innych naszych kochanych przyjaciół. Hej! Co bym dał bym tak zawsze mógł śpiewać.

A otaczające nas bory oddają sobie nawzajem słowa naszej pieśni, i szumią jakby dziwić się chciały...

Nagle śpiew przerywa się, bo nadchodzi godzina „ciszy nocnej".

— „Wszyscy do kapliczki!" — Popłynął w dal po lśnięcej powierzchni jeziora hymn:

„Idzie noc
Słońce już...
Zeszło z gór,
Zeszło z pól,
Zeszło z mórz...

Odmawiamy chórem modlitwą; „dobranoc" i spać.

* * *

Rano, za głosem pobudki zrywamy się ze smacznego snu. Zaraz po śniadaniu następują wstępne roboty obozowe: stawianie masztu do flagi, ogrodzenia, bramy i t. d.

I płyną dni, beztroskie, w tem mieście przez nas samych wzniesionem. I tylko ten, którego woda deszczowa nigdy nie tknęła, lub zmoczywszy o katar przyprawiła, może wypowiedzieć często spotykane zdanie: „Et! Dzieci! W wojsko się bawią. Ja wolę siedzieć w Konstancinie, niż tam włóczyć się nie wiem gdzie"...

* * *

I to jest ta wielka różnica między ludźmi, których marzeniem jest tło dancingu lub dusznych salonów, i takimi, co wolą w zielonych pustkowiach, lekko ubrani podziwiać piękno świata Bożego. Bo Natura jest największym malarzem, i najlepszym ojcem ale tylko dla takich, których twarze rozświetla uśmiech.

Edward Wechsler

Odpowiedź na artykuł p. Leonardy Kamińskiej

Leży przedemną artykuł p. t. „Kilka słów prawdy". Jest to głos protestu przeciw wprowadzeniu w Polsce pionierskiego typu, jako niemożliwego dla ducha naszego narodu. Chylę głowę przed kobiecym sentymentem, chcącym z hasłem miłości bliźniego poszerzać polskie władanie, lecz muszę zaznaczyć, że to nie zgadza się z naszem trudnem położeniem międzynarodowem.

Żyjemy w zmienionych czasach. Glob ziemski pokrył rój ludzki, „kotłujący się i nienawidzący", nie mający miejsca dla siebie i starający się wszelkiemi sposobami zdobyć pole do działania. Człowiek stał się zwierzem. Pod płaszczykiem uprzejmości i w imię najserdeczniejszych haseł przeprowadza najstraszniejsze swe plany. Tak już jest, że obłuda i przemoc zapanowały na naszej planecie. Ostatnia wojna pokazała, że ludzi jest zadużo i to sprowadza walki. W ciężkiem zmaganiu się o byt zwycięża silniejszy i nieprzebierający w środkach. Musimy się strzec. Stoimy wobec twardej rzeczywistości. Wokół nas czyhają wrogowie, którzy chętnieby zmietli znienawidzoną Polskę z powierzchni ziemi. A starcie jest możliwe. Żadne traktaty pokojowe nie pomogą nam, gdy będziemy słabi. Szlachetnemi hasłami nie wygramy. Gdybyśmy chcieli kulturą imponować, a nie moglibyśmy w razie potrzeby użyć przemocy to wkrótce zostalibyśmy może na okrawku ziemi, bo sąsiedzi w imię pokoju zabraliby nam wszystko. Kultura jest tylko czynnikiem podrzędnym w ekspansji. Nie będziemy już ginęli na szubienicach i w tajgach Sybiru. Przyjdzie kolej na ciemięzców i pomścimy dziadów kochanych. Polak-pionier upomni się za krzywdy. A wtedy ludzkość uchyli czoła przed siłą. A silni będziemy zawsze, bo tego będziemy chcieli.

Roland Kiewlicz

ODPOWIEDZI DZIAŁU LITERACKIEGO

p. Harry Kolbow, Klarysew.

Bardzo jesteśmy panu wdzięczni za życzliwe uwagi. Ostatni numer „Sternika" był dowodem, że staramy się zadowolić „belletrystyczne" wymagania czytelników. Co do powieści, ujętej — jak pan pisze — w formę „d. c. n.", zdania są bardzo podzielone. Opinja jest raczej za tem że w dwutygodniku powieści drukować nie można, bo przez dwa tygodnie czytelnik zdąży zapomnieć, co było w rozdziale poprzednim.

W każdym razie, niech pan nam wierzy: każde zagadnienie wysunięte przez naszych czytelników jest przedmiotem gorących dyskusyj w łonie komitetu redakcyjnego.

Pańskie przekłady świadczą dobrze o pańskim guście, a źle o sumienności poetyckiej. Rytm uhlandowskiego wiersza oddał pan nieźle, ale z rymami już jest gorzej. Z wyrażeniami również: Np. „jak wzmaga się Lira", albo „Jeszcze Polska wstanie z gruz(?)".

„Fletnie Pana" — o wiele lepsze, ale jeszcze nie dla nas. Elisabeth Browning — to za wielka poetka ,abyśmy mogli tak lekkomyślnie obchodzić się z jej spuścizną.

Przykładem pańskiej lekkomyślności niech będzie dwuwiersz następujący:

„...Bryżdżąc (?) i pluszcząc kopytami kozła,
Depcząc i łamiąc złotych lilij giezła..."

Niech się pan poprawi, drogi panie, i nie zapomina o nas.

„Smutny Płomyk", Wilno.

Serenada (?) Pani, zanim „smutno się skończyła", napełniła nas głębokim smutkiem.

Nie tylko dlatego, że nadaremno szukaliśmy w niej iskierki zdrowego sensu. Poza tem jest bardzo źle napisana. Względnie dobre, choć banalne rymy i prawidłowy rytm nie usprawiedliwiają jeszcze rażących błędów zawartych w tym wierszu. Nie można pisać np. „jasnemi promieni" w znaczeniu „promieniami". Nie można w wierszu o tego rodzaju rytmizacji umieszczać takiego zdania:

„Cichy szmer fal głuszy",

bo dwa te wyrazy brzmią jak jeden: szmerfal.

Przykłady moglibyśmy mnożyć. „Serenada" roi się od szablonowych, nic nie mówiących wyrażeń. „Księżyc — bajki świecznik wieczny" (Dlaczego?).

Co ma znaczyć zdanie: „Gdy czas z myślą ginie?" Nie wiemy. Pani zapewne także nie wie.

Wobec tego radzimy spróbować sił na terenie prozy. I tematy niech będą mniej „poetyczne" w ujemnem tego słowa znaczeniu.

P. Adam Lwicz, Włocławek.

Rozumiemy, że te dwa wiersze przysłał nam pan do oceny, bo trudnoby było przedrukować utwory z innych pism.

Wiersze pańskie należą do kategorji „niepotrzebnych". W pogoni za łatwym rymem, zapomina pan o tem, że poezja prócz pięknych słów potrzebuje jeszcze myśli. To, że „wiek dziecięcy szczezł (cóż za okropne słowo!) ...by już nie wrócić więcej" — nikogo wzruszyć nie może. Tyle o wierszu „Czy pamiętasz?".

W drugim („Przed Tobą upadam") popełnia pan błąd wprost przeciwny. Dał się pan ponieść głębokości tematu i zapomniał pan o for-

mie. Wiersz taki t. zn. o charakterze modlitewnym musi być jaknajbardziej rytmiczny. U pana rytm się załamuje w paru miejscach. Proszę sobie głośno odczytać ten wiersz, który zresztą uważamy za najlepszy z dotąd nadesłanych nam przez pana.

Prosimy o dalsze próby.

P. Roland Kiewlicz, Święciany.

„Sen Bałtyku" przysyła nam Pan powtórzenie — najwidoczniej omyłka, gdyż został on już omówiony w odpowiedziach.

Dwa pozostałe utwory pańskie mają bardzo poważną wspólną wadę: nieumiejętną personifikację bohatera (jeśli wogóle bohaterem utworu można nazwać most kolejowy). U Pana most płacze, zastanawia się, przeżywa, a wszystko razem jest bardzo niezręczne.

Niech Pana Bóg broni od takich wyrażeń: „Tylko posępne, poszarpane bloki skalne milczały wzgardliwie". Czy skoły potrafią nie milczeć? Jak Pan sądzi? I czy nie uważa Pan, że przydałoby się trochę więcej prostoty?

Swego strusia uczłowieczył Pan również nazbyt swobodnie. Nie studjowaliśmy obyczajów strusich, ale nie wątpimy, że temat obrany przez pana możnaby opracować ciekawiej i żywiej na ściśle naukowych podstawach. Czy strusie są zazdrosne? Czy umieją płakać „ku sensacji (?) tłumu"?

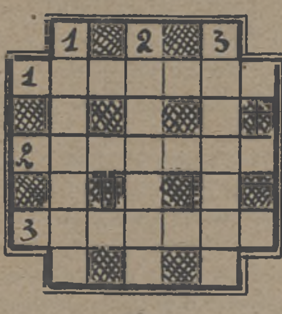
Trzeba być bardziej odpowiedzialnym za każde napisane słowo. Taka jest nasza poważna i życzliwa rada.

Dział rozrywek umysłowych

ZADANIA PLEBISCYTOWE

1. SKŁADANKA KRZYŻYKOWA

(pod. W. Śledziński)



Z podanych 21 liter ułożyć należy 3 siedmioliterowe wyrazy, poczem wpisać w poniższą figurę. Wyrazy czytają się i poziomo i pionowo.

Litery: a c e i i i i k l ł ł n n o o o o p p y y y z

Znaczenie wyrazów: 1. Utwór Stefana Żeromskiego. 2. Kolor. 3. Część wozu (chłopskiego).

2. LOGOGRYF.

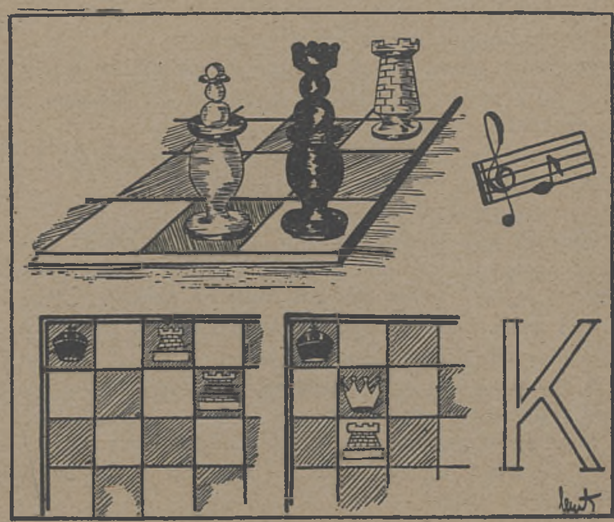
(pod. Adam Lwicz)

```
    X X X X X O X X X X X
    X X X X X O X X X X X
          X X O X X
        X X X O X X X
  X X X X X X O X X X
          X X O X X X X
        X X X O X X X
      X X X X O X X X
X X X X X X X X O X X X X X X X
     X X X X X O X X X X X
```

Na miejsce krzyżyków i kółek wstawić litery, aby dały tytuły 10 dzieł Kraszewskiego, litery zaś na miejscach kółek tytuł 11 dzieła.

REBUS

(podał Jan Stratilato)



KONKURS WSZECHSTRONNOŚCI.

(warunki w Nr. 1)

VI. CYKL HISTORYCZNY

1. Jakie trzy ważne w historji Polski daty można napisać przy pomocy tych samych cyfr?
2. W jakich walkach o wolność innych narodów brali udział Polacy w XVIII i XIX stuleciu?
3. Streść krótko (do 1000 słów) rozwój stosunków polsko-ukraińskich w Polsce Niepodległej do czasów rozbiorów.

Termin nadsyłania odpowiedzi na zadania z bieżącego numeru ułpływa 15 marca.

KONKURS FOTOGRAFICZNY

Rozpoczynamy pierwszy konkurs fotograficzny — **Konkurs na fotografję chmur i obłoków.**

Przedmioty na pierwszym planie zdjęcia dowolne — tłem musi być niebo, pokryte obłokami lub chmurami. Przy zdjęciach podać: Imię, nazwisko, adres, treść zdjęcia, datę, rodzaj aparatu i kliszy. Odbitki muszą być wykonanane na papierze czarnym i błyszczącym, gdyż tylko takie nadają się do umieszczenia w piśmie.

Nagroda — album do fotografji.

„STERNIK" WYCHODZI 10-go I 25-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł., 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. **Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.**

Warszawskie Zjednoczone Zakłady Graficzne „SPÓŁDRUK", Warszawa, ul. Długa Nr. 26. Telefon Nr. 260-19.